Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok IX Warszawa, dn. 3 VIII. 1952 r. Nr 31 355)



STANISŁAW CIEŚLAK

KOMUNIZM JUŻ BLISKO

„ELEKTRYFIKACJA na gruncie ustroju radzieckiego — pisał Lenin w 1920 roku — stworzy ostateczne zwycięstwo podstaw komunizmu w naszym kraju, podstaw kulturalnego życia bez wyzyskiwaczy, bez kapitalistów, bez obszarników, bez kupców".

W chwili wypowiadania tych słów młoda Republika Radziecka miała już poza sobą budowę pierwszej „większej" elektrowni o mocy 6400 kW i przystępowała do budowy „kolosa-elektrowni" o mocy 8700 kW. A dopiero w roku 1924 Zakłady imienia Stalina wykonały dwie pierwsze, radzieckie turbiny wodne, jedną o mocy 55 kW drugą o mocy 370 kW.

Świat ówczesny, za wyjątkiem najbliższych współpracowników Lenina ze Stalinem na czele ocenił te słowa Lenina jako uskrzydlone marzenie oderwane od rzeczywistości.

Ale przemawiał wówczas człowiek, który miał jasną świadomość wspaniałej perspektywy, pełnego podporządkowania człowiekowi przyrody na podstawie poznania jej praw, wprzęgnięcia przyrody w niespotykanej dotychczas skali w służbę ludzkości na bazie bujnego rozwoju sił wytwórczych i nauki w społeczeństwie bezklasowym.

Dziś po 32 latach od przemówienia Lenina te same Zakłady im. Stalina, które z ogromnym wysiłkiem zbudowały w r. 1924 pierwszą radziecką turbinę o mocy 65 kW. przystąpiły już do budowy turbiny dla Kujbyszewskiej Elektrowni Wodnej o mocy... 2 milionów kW, a więc turbiny trzydzieści razy większej od największej do dziś dnia na świecie turbiny Dnieprogresu o mocy 65 tys. kW.

Maszyn tego rodzaju nie ma dotychczas na świecie. Ogólna wysokość turbiny i prądnicy wynosić będzie 40 metrów, czyli inaczej mówiąc będzie się równać wysokości 10-piętrowego domu, 10 miliardów kW, których dostarczy rocznie ta turbina równa się pod względem mocy jednoczesnemu wysiłkowi 50 milionów ludzi, a wystarczyłaby ta moc dla wyprodukowania 4,4 milionów traktorów lub 12,5 milionów samochodów.

Drugą taką pamiętną datą, którą ze wzruszeniem wspominają ludzie radzieccy — to 9 luty 1946 roku. Dzień w którym Józef Stalin występując na zebraniu przedwyborczym w Moskwie, nakreślił przed narodem wielki program i wielką perspektywę budownictwa komunizmu.

„Co się tyczy planów na dłuższy okres czasu — mówił wówczas Stalin — to partia zamierza pchnąć gospodarkę narodową na drogę nowego, potężnego rozwoju, który pozwoliłby nam podnieść nasz przemysł na poziom, powiedzmy trzykrotnie wyższy, aniżeli poziom naszego przemysłu przedwojennego. Musimy dopiąć tego, by przemysł nasz mógł produkować rocznie do 50 milionów ton surówki żelaznej, do 60 milionów ton stali, do 500 milionów ton węgla, do 60 milionów ton ropy naftowej".

Od wypowiedzenia tych słów minęło zaledwie sześć lat, gdy oddany został do użytku (na dwa lata przed wyznaczonym uchwałą Rady Ministrów ZSRR terminem!) Wołżańsko-Doński Kanał Żeglowny im. Lenina — pierwsza budowla komunizmu.

Moskwa stała się portem 5 mórz. Na trasie Moskwa — Rostów, długości 3267 km rozpoczęła się normalna żegluga towarowa. Statkami o wyporności 3 tysiące ton płynie na północ doniecki węgiel, wyroby hutnicze, ruda manganowa, pszenica Ukrainy i Północnego Kaukazu, na południe w kierunku Morza Czarnego przewozi się ropę naftową z dorzecza Wołgi, budulec drzewny, produkty chemiczne, maszyny itp. z Moskiewskiego Okręgu Przemysłowego.

Elekrownia Cymliańska o mocy 150 tys kW przy zaporze spiętrzającej wody Donu na wysokość 26 metrów i przepuszczającej 20 tys. metrów sześciennych wody na godzinę, uruchomiła już dwie potężne turbiny, montuje trzecią. Już w tym roku obszar uprawy ZSRR powiększył się dzięki nawodnieniu pustyń i stepów o przeszło 200 tys. ha, na których zbiory pszenicy planuje się na 30 — 40 q z ha, ryżu 30—45 q z ha, bawełny 20—25 q z ha, warzyw 300—400 q z ha itd. W najbliższym czasie na pola orne i na pastwiska (o wydajności rocznej od 60—100 q siana) zamieni się dalszych 2,5 miliona ha stepów i półpustyń nad Donem i Wołgą w zapleczu potężnych ośrodków przemysłowych: Rostowa, Szachty, Nowoczerkaska, Taganrogu...

Tempo budowy kanału Wołga — Don nie ma precedensu w historii. Wystarczy przypomnieć, że budowa kanału Sueskiego (161 km długości) trwała 22 lata, a budowa kanału Pomorskiego (78 km) — 35 lat, budowa kanału Wołga - Don (w warunkach o wiele trudniejszych, bo na gruncie piaszczystym, nie skalistym) — 2 lata.

Niezwykle szybkie tempo budowy zawdzięczać należy wielkiemu entuzjazmowi budowniczych radzieckich, szybkiemu opanowaniu przez nich nowej, komunistycznej techniki (mechanizacja robót ziemnych w 98 proc., układania betonu w 100 proc., innych prac w 90 proc.) oraz wyposażeniu całej budowy w najnowocześniejsze, nigdy dotąd nie stosowane maszyny.

Koparka krocząca o czerpaku pojemności 14 m sześć. — (zastępująca pracę 35 tysięcy kopaczy i 75 tysięcy parokonnych wozów) o wydajności 20 tys. m sześ. ziemi na dobę, olbrzymie buldożery, równające w ciągu doby powierzchnię 6-8 ha, potężne pompy ziemne, które wydobywają i transportują 1000 m sześ. ziemi na godzinę przy pomocy niezwykle silnego strumienia wody, samochody-wywrotki o pojemności 25 ton, dźwigi o nośności 450 ton, kombajn do rycia kanałów i wiele innych maszyn i urządzeń — oto wyposażenie budowniczych kanału Wołga-Don.

Zastosowanie takich maszyn pozwoliło usunąć w ciągu jednego sezonu robót 30 mil. m sześć. ziemi na trasie kanału Wołga - Don. Ziemia ta usypana w kształcie piramidy o podstawie 300/300 m sięgałaby swym wierzchołkiem na wys. 1000 metrów!

Również prace przy budowie największej elektrowni świata w Kujbyszewie posuwają się szybko naprzód. Mimo, że elektrownia ruszy dopiero w r. 1955 rozpoczęto już jednocześnie budowę na trasie 900 km masztów wysokiego napięcia każdy o wadze 8 ton i 28 m wysokości, po których pod napięciem 400 tys. woltów popłynie 10 miliardów kWh do Moskwy.

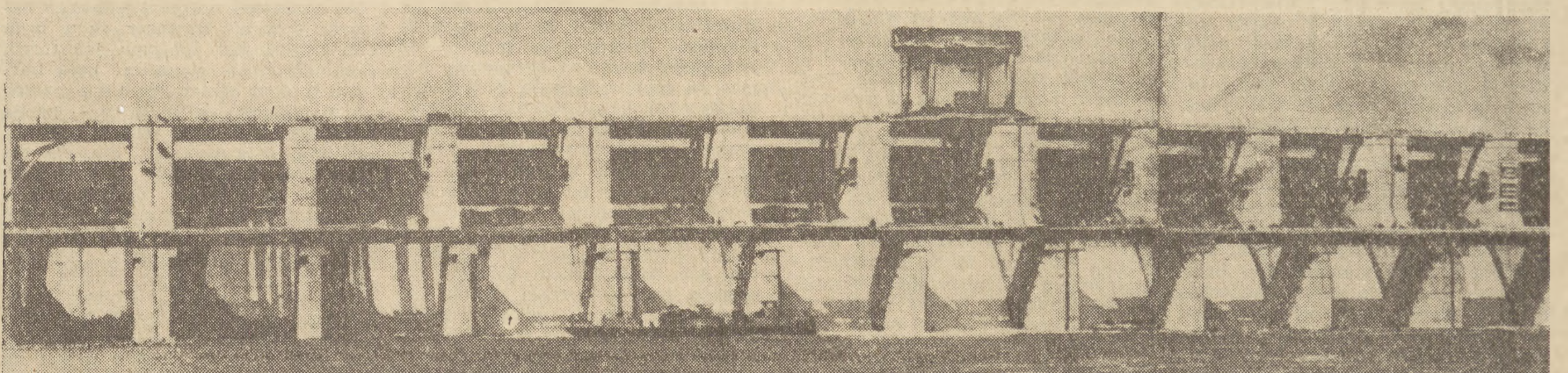
Na trasie głównego Kanału Turkmeńskiego (1100 km) powstają już liczne bazy materiałów budowlanych, maszyn i urządzeń technicznych, w końcowej fazie są już prace nad dokumentacją naukowo-techniczną.

Przy budowie Kachowskiej Elektrowni Wodnej na Dnieprze trwają wielkie roboty ziemne, wydobyto już ponad 2 miliony m sześć. ziemi. Szybko posuwają się również naprzód skomplikowane prace badawcze i wytyczanie na gruncie trasy kanału północno-krymskiego (550 km!). W Stalingradzie położono już fundamenty betonowe pod elektrownię - gigant o mocy 1700 tys. kW, i rozpoczęło budowę kolejki linowej nad Wołgą dla szybszego transportu materiałów budowlanych.

Szybko rośnie ekonomiczno-techniczna baza komunizmu, narody radzieckie zmieniają oblicze swego kraju, odwracają rzeki, zamieniają pustynie i stepy na pola uprawne, pokrywają cały swój piękny kraj gęstą siecią kanałów żeglownych, zdobywają nowe, niewyczerpane źródła energii dla dalszej rozbudowy przemysłu i jego mechanizacji, dla elektryfikacji rolnictwa i transportu. Narody radzieckie pod kierownictwem Stalina otwierają nową epokę historii, w której na bazie obfitości dóbr każdy otrzyma według swych potrzeb, w której na bazie wysokiego poziomu techniki zniknie różnica między pracą fizyczną a umysłową, w której na bazie wysokiego poziomu sił wytwórczych przezwyciężona zostanie ostatecznie odwieczna różnica między życiem na wsi a w mieście. Wielkie budowle komunizmu przygotowują grunt pod tę już bardzo bliską epokę.

Naród Polski i jego masy pracujące są dopiero u początku tej drogi wyzwalania się z nędzy i wyzysku, z ciężkiego jarzma żywiołowych praw rządzących gospodarką kapitalistyczną, jakie przynosiły masom pracującym ucisk i nieszczęście. Wznosząc wielkie budowle socjalizmu: Nową Hutę, Dwory, Żerań, Wierzbicę, i setki im podobnych obiektów przemysłowych, przebudowując rolnictwo w kierunku socjalizmu, rozwijając oświatę i kulturę narodową patrzymy z dumą i ze wzruszeniem na wielkie osiągnięcia i plany ludzi radzieckich, jako na rzecz nam drogą i bliską, jako na własną perspektywę rozwoju.

Stanisław Cieślak



1950.

POCZUCIE PRZYSZŁOŚCI

Gdy jesienią 1950 roku byłem na Wołgo - Donie, bardziej niż wszystko inne uderzyła mnie jasność, rzekłbym, że aż codzienna w swej oczywistości jasność, z jaką budowniczowie Kanału widzieli przyszłość. Konstruktor może nieraz bez trudu kreślić w myśli kształt nowej maszyny, malarz — widzieć bez trudu zarys nowego obrazu. Któż jednak potrafi dojrzeć krajobraz przyszłości we wszystkich jego szczegółach?

Pierwsza śluza była w tym czasie jamą, pełną niewypompowanej wody. Brzeg Wołgi pokrywały zwały czerwono - rudej ziemi. Z trudem brnęliśmy przez te góry lepkiej, czepliwej gliny. Dotarłem do Czapurnik i ośrodka leśnych pasów ochronnych bez przecinania dna kanału: linia wykopu z ciągnącym się wzdłuż garbem dobytej ziemi raz po raz się urywała, krocząca koparka zaczynała dopiero wgryzać się w dział wodny. A jednak każdy kogo spotkałem mówił o trasie kanału z taką wyrazistością, jakby go miał przed oczyma.

Jadąc na przełaj ogromnym polem, już za działem wodnym, trafiłem na budowę osiedla. Okna wszystkich domów wychodziły na jedną stronę. Dlaczego? Odpowiedziano mi: stawiamy je z widokiem na przyszłe morze!

Nigdy nie zapomnę widoku dwóch wyniosłych wież betonowych wśród gołego stepu. Były to filary przyszłego mostu. Most wyrastał na suchej równinie w przewidywaniu rzeki przyszłości.

Tak, tu można oglądać krajobraz jutrzejszego dnia! Ustrój radziecki nauczył naszych ludzi myśleć przyszłością.

Ostro odczułem to wówczas na Wołgo-Donie. I równie ostro doznaję tego uczucia dziś, w dniu urzeczywistnienia wielkiej idei, która jeszcze dwa lata temu ledwie zaczynała się stawać.

Mikołaj Michajłow

1951.

BETON I KWIATY

Był już grudzień, ale jesienna rozkisłość trwała. Na budowie wywołało to wielkie powikłania: ziemia i glina były tak grząskie, że budowniczowie marnowali połowę wysiłków na wyciąganie maszyn z bajor i błot. Szaruga i ciągłe deszcze odcięły wiele odcinków robót i nawet główna magistrala — szosa biegnąca wzdłuż trasy — w miejscach, gdzie przecinała kanał (mosty dopiero budowano) stała się nie do przebycia.

A jednak we wszystkich rejonach budowy widziałem przedzierające się poprzez rozmiękłą glinę ciężarówki z niezwykłym ładunkiem: prostokątne skrzynie pełne były bryłowatej ziemi przerosłej korzeniami, a ze skrzyń wyrastały drzewa.

Wieziono także darń pociętą w kwadraty. Wzdłuż suchego jeszcze łożyska kanału, wymoszczonego kamieniami, posuwali się brzegiem kopacze trzymając w ręku niezwykłe tutaj narzędzia — łopaty. Kopali jamy i sadzili drzewa i krzewy.

Na jednym z gotowych odcinków kanału — koło Beresławskiej grodzi — zobaczyłem w dole ciemny czworobok, przypominający z daleka stojący w zwartym szyku pułk. Poszedłszy bliżej przekonałem się, że są to krzewy ustawione jedne przy drugich i gotowe wyciągnąć się wzdłuż kanału dla jego osłony.

Choć nieustanna plucha zagrażała wykonaniu planu robót betonowych, ziemnych i montażowych, pracy przy zieleńcach nie odsunięto na dalszy plan. Byłem świadkiem wydawania zarządzeń o kwiatach i drzewach przez naczelnika wydziału politycznego, głównego inżyniera i we wszystkich biurach odcinków. Zagadnienie trawników i kwietników omawiano na równi ze sprawą układania betonu. Beton i kwiaty stały się nierozerwalną częścią wielkiej budowy.

Naczelnik biura zieleńców, człowiek cichy i skromny (tylko szereg wstążeczek orderowych na piersi mówił o jego drodze bojowej), przez szereg godzin odmalowywał mi obraz pasów leśnych, jakie powstaną wzdłuż kanału. Mówił bez żadnego patosu, lecz jego słowa były przejmujące:

— Wszystko tu będzie pokryte wodą, na powierzchni zostanie tylko las i zieleń. Stworzymy tu krajobraz komunizmu. Mamy przed sobą zadanie zabezpieczenia kanału przed ciągnącym się dokoła stepem i uregulowania reżimu wody.

Po czym, jakby nawiasem, wymienił kilka liczb. Plan grudniowy przewiduje 2.000 drzew. Plan wiosny 1952 r. — 12.000 drzew dorosłych, ponad milion sadzonek, 22 miliony siewek różnego gatunku drzew...

Dziś, gdy wśród zielonych brzegów kanału płyną parowce, wspominam z uczuciem niezmiernej dumy z ludzi radzieckich, owe ciężkie dni grudnia, kiedy nie zważając na niewiarygodne trudności budowniczowie tworzyli obraz wiosny komunizmu.

Eugeniusz Dołmatowski

1952.

SZTORM NA MORZU

W Morzu Cymliańskim nagromadzono już 11 miliardów metrów sześciennych wody. Znalazłem się na kutrze płynącym z Kałacza do Nowosolenowska. Na trasie raz po raz na próżno przebijałem wzrokiem horyzont — brzegów ani na prawo, ani na lewo nie było widać.

Budowniczowie węzła wodnego przywykli już jakoś do skali swych prac. Cóż, zbiornik wody o powierzchni dwóch tysięcy kilometrów kwadr., o różnicy między poziomem morza i Donu w owej chwili równej 20 metrom...

Nagle w początkach maja na Cymliańskim zbiorniku wodnym rozszalał się pierwszy sztorm. Wysokość fali dochodziła do dwóch i pół metra. Młoda istota, jakby chcąc pokazać swoją moc olbrzyma, tak rozhulała się, że zaczęła wyrządzać szkody. Na betonową pochyłość zapory fale zaczęły wyrzucać belki, deski, drzewa wyrwane z korzeniami, a nawet kuter rzeczny, który nie umknął w porę, a który rozbiły na drzazgi. Były też i inne przykrości.

I wtedy nastąpiła rzecz nieoczekiwana: twórcy morza, budowniczowie gigantycznej zapory i hydroelektrowni zaczęli się cieszyć. Jak gdyby otworzyły im się oczy na to, co sami stworzyli, jak gdyby pojęli jaśniej całą wielkość możliwości i sił radzieckiego człowieka.

— A więc to tak! A więc to prawdziwe morze! Nie ma z nim teraz żartów. Trzeba go dobrze pilnować!

Wśród spalonego stepu wyłonił się olbrzymi zbiornik wodny i w oczach miejscowej ludności wszystko dokoła zaczęło się zmieniać. Brzegi zazieleniły się trawą, i to taką jakiej tu dawniej nigdy nie widywano. Przybyło nieba i światła, lżej było oddychać i żyć. Aż się napatrzeć i nacieszyć nie można...

Aleksander Jaszin

27.VII. 1952.

SYMBOL POTĘGI I PRZYJAŹNI NARODÓW

W tym dniu przepełnionym powszechną radością wspominam groźne lato 1942 roku...

Nasza formacja wojskowa zbliżała się do płonącego Stalingradu. Dokoła rozpościerał się step wypalony żarem. Ja i mój krajan, Chamid Sułtanow, niemłody już kołchoźnik z Kuszkarenkowskiego rejonu Baszkirii staliśmy przy otwartych drzwiach wagonu. Sułtanow patrzył smutnie w dale stepowe i milczał. Gdy pociąg stanął, mój krajan ujął w ręce garść ziemi, roztarł ją, powąchał, nawet posmakował, pokiwał głową i z jeszcze większym smutkiem popatrzył w bezkresne dale.

— Ileż to ziemi ginie na marne — powiedział ciężko wzdychając — ileż to jej ginie!

Zrozumiałem, że w tym rolniku z dziada - pradziada znieważone zostało uczucie miłości do ziemi, jako źródła życia.

W tej właśnie chwili dowódca kompanii ogłosił, że póki nie dojdziemy do Wołgi wprowadza się racje wody do picia: półtora litra dziennie na żołnierza.

Wiadomość ta oszołomiła zupełnie mego krajana. Widocznie w świadomości człowieka znad brzegów wielowodnej Ak-Ideli nie mogła się pomieścić myśl o racjonowaniu wody. Podszedł do nas komisarz formacji i, dowiedziawszy się o zmartwieniu Chamida Sułtanowa, powiedział:

— To gorzkie dziedzictwo starego świata. Ale niech tylko pokonamy faszystowską zarazę, a rozpoczniemy szturm na złe siły przyrody, ożywimy te martwe ziemie i każemy im zakwitnąć.

Sułtanow stanął na baczność i z najwyższą powagą i przekonaniem odpowiedział:

— Tak jest, towarzyszu komisarzu. Tak właśnie zrobimy!

I tak właśnie zrobili! Kanał Wołżańsko-Doński budował cały nasz kraj, w tej budowie udział brały wszystkie radzieckie narody.

Wołgo-Don łączy nie tylko dwie wielkie rzeki oraz pięć mórz. Symbolizuje niewzruszoną przyjaźń narodów radzieckiej Ojczyzny. Jak rzeki i morza łącząc się, tworzą jednolitą i potężną całość, tak przyjaźń naszych narodów stanowi niezwyciężoną siłę, zdolną sprawiać cuda — kazać rzekom płynąć nowym łożyskiem, a martwe ziemie zmieniać w kwitnące ogrody.

Gajnan Amiri

TADEUSZ ORLEWICZ

CHŁOPI ZACHODNICH NIEMIEC NIE BĘDĄ MIĘSEM ARMATNIM



W Niemczech Zachodnich

KAPITALIZM w rolnictwie rozwijał się różnymi drogami. Lenin określał w zasadzie dwie charakterystyczne drogi rozwoju: amerykańską i pruską, z tym, że nie oznacza to oczywiście, by tylko w USA rozwój kapitalizmu w rolnictwie szedł drogą amerykańską i tylko w Niemczech pruską lub, by te dwie zasadnicze drogi rozwoju nie występowały łącznie w poszczególnych krajach.

Pruską drogę w kapitalizmie charakteryzuje fakt, „że średniowieczne stosunki władania ziemią nie ulegają likwidacji od razu, lecz powoli przystosowują się do kapitalizmu, który wskutek tego jeszcze długo zachowuje cechy na poły feudalne. Pruska wielka własność nie została zniszczona przez rewolucję burżuazyjną, lecz ocalała i stała się podstawą gospodarki „junkierskiej", kapitalistycznej w zasadzie, ale nie mogącej się obyć bez znanych sposobów utrzymania w zależności ludności wiejskiej w rodzaju „Gesindeordnung" itp."" (Lenin, Dzieła, t. 15, str. 117, wyd. ros.).

To powolne i męczące przejście od form wyzysku feudalno - pańszczyźnianego do form kapitalistycznego wyzysku, całym swym ciężarem dławiło przez wiele dziesiątków lat niemieckie chłopstwo pracujące. Nawet w imperialistycznym stadium kapitalizmu zachowały się tutaj wyraźne przeżytki stosunków feudalnych w rolnictwie, zależności osobistej chłopa od pana, nie mówiąc już o pogłębiającej się zależności ekonomicznej.

Republika Weimarska obalając rządy kaiserowskie zachowała w pełni władzę wielkiej burżuazji i wpływy junkierstwa. Zachowała też nietknięte wielkie majątki obszarniczo - junkierskie, liczące nierzadko dziesiątki tysięcy hektarów ziemi. Pozwoliła na dalszą bezkarną grabież wielomilionowej masy chłopstwa mało i średniorolnego. Inflacja szalejąca w Niemczech po pierwszej wojnie światowej oznaczała ruinę klas średnich i kompletne zubożenie ludzi pracy. Oznaczała ruinę podstawowych mas chłopskich. Ale za to oligarchom przemysłu, kierownikom IG Farben czy magnatom stalowym w Zagłębiu Ruhry inflacja przyniosła ogromne zyski i niezwykle sprzyjające warunki do wzmożenia koncentracji kapitału w rękach przyszłych finansistów całej zbrodniczej awantury hitlerowskiej. W warunkach takich z chaosu inflacyjnego wyszły obronną ręką wielkie majątki, a tysiące gospodarstw chłopskich padło pod uderzeniem licytacyjnego młotka, tysiące ograniczyło swoje możliwości produkcyjne, zadłużenia hipoteczne rolnictwa rosły w lawinowym tempie. Rosły równocześnie w siły duże gospodarstwa kułackie, pasożytujące na coraz gorszej sytuacji materialnej podstwowych mas chłopskich i wspierane przez junkiersko - burżuazyjny imperializm niemiecki. Średniowieczna zależność chłopów od dziedziców zbierała swoje ponure żniwo, uwsteczniające i hamujące rozwój sił produkcyjnych rolnictwa niemieckiego.

Wystarczyło kilkunastu lat rządów hitlerowskich, aby zubożenie i ruina podstawowych mas chłopskich przybrały zastraszające rozmiary. Wywołana przez Hitlera za poduszczeniem wielkiego kapitału druga wojna światowa obraz ten zaostrzyła, nic bowiem tak nie niszczy biedniaka i średniaka czy robotnika rolnego jak wojna zaborcza. W roku 1933, w pierwszym roku w którym Hitler uzyskał z rąk niemieckich magnatów stalowych tytuł kanclerza Rzeszy, ilość gospodarstw o powierzchni do 2 ha wynosiła 3.640.000, a w 6 lat później — już 4.420.000. Gospodarki te stanowiły 67 proc. ogólnej ilości gospodarstw niemieckich, a jednak dysponowały zaledwie 4 proc. powierzchni uprawnej kraju. Ilość gospodarstw biedniackich wzrosła o 21 proc., ich łączny obszar zmalał co najmniej o 10 proc. Na drugim biegunie mamy za to 34.000 gospodarstw obszarniczych, które trzymały w swoich rękach zrazu 30 proc., a później 40 proc. ogólnego obszaru uprawnego. Pomiędzy tymi grupami gospodarstw mieściła się reszta: średniacy i kułacy, pierwsi — spychani coraz bardziej do rzędu biedniaków, drudzy — rosnący w siły gospodarcze kosztem biedoty i bardzo często kosztem średniaków. Obok nich wielotysięczna armia robotników rolnych, bezrolnych najmitów panoszącego się na wsi kapitału finansowego. Na wsi niemieckiej zaledwie 0,4 proc. gospodarstw posługiwało się w roku 1933 traktorami, ewentualnie pługami mechanicznymi. W tych wielkich majątkach skoncentrowały się i inne maszyny rolnicze, a także przeważająca ilość pogłowia zwłaszcza koni i bydła rogatego. W roku 1939 ponad 60 proc. samodzielnych gospodarstw nie miało koni lub bydła. Zadłużenie rolnictwa w latach dyktatury faszystowskiej osiągnęło niespotykaną wysokość 13 miliardów marek. Niemiecka gospodarka rolna, wpędzona w hitlerowskie tryby maszyny, produkującej armaty zamiast masła, czołgi zamiast traktorów, łamała się w coraz głębszych sprzecznościach reżymu faszystowskiego.

Taka sytuacja wyraźnie hamowała rozwój sił wytwórczych rolnictwa niemieckiego. To co się mówiło w propagandzie hitlerowskiej o jego wysokim poziomie dotyczyło tylko cienkiej warstewki bogatych gospodarstw, pasożytujących na ogromnej większości; bezmiar krzywdy i różnic dzielił od wewnątrz wieś niemiecką na wrogie sobie klasy: wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Co najmniej 67 proc. producentów rolnych nie było w stanie uczestniczyć w odpowiednim stosunku w produkcji towarowej i upadało wraz z poważną częścią średniorolnych w walce konkurencyjnej ze zmechanizowaną większą i wielką gospodarką. Oni też przede wszystkim wypełniali kontyngenty mięsa armatniego, pędzonego przeciwko Krajowi Rad.

Zdawało się więc, że zniszczenie potęgi ekonomicznej junkierstwa i wpływów politycznych kasty szlachecko - junkierskiej, zlikwidowanie przeżytków feudalnych i zapewnienie drogą demokratycznych reform szybkiego rozwoju rolnictwa— to jedyne słuszne wytyczne koniecznych zmian w stosunkach agrarnych Niemiec po obaleniu bestii hitlerowskiej. Jednakże tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej sprawy te zostały rozwiązane zgodnie z interesami gospodarki narodowej. W NRD przeprowadzono plebejską reformę rolną, zlikwidowano obszarnictwo jako klasę i stworzono korzystne warunki dla szybkiej rozbudowy potencjału gospodarczego wschodnio - niemieckiego rolnictwa. Jak w innych dziedzinach życia politycznego i gospodarczego NRD stała się wymownym przykładem dla wszystkich Niemców, jak pracować i walczyć należy dla sprawy narodowej, pokoju i postępu.

W Niemczech Zachodnich w rękach obszarników jest około 7 milionów ha ziemi. Demokratyczna reforma rolna mogłaby z tego co najmniej 5 milionów oddać bezrolnym, małorolnym, przesiedleńcom. A w tej części Niemiec głód ziemi jest szczególnie ostry. Brakło tej ziemi co najmniej 2 milionom rodzin chłopskich. Brakło jej setkom tysięcy przesiedleńców. Za wzorem NRD reformy rolnej domagają się najszersze rzesze chłopskie, wspierane w swoich żądaniach przez Komunistyczną Partię Niemiec, czujne sumienie narodu. Żądania te znajdują wyraz w demonstracjach i strajkach robotników rolnych pospołu z indywidualnymi gospodarzami mało i średniorolnymi. I znajdują wyraz w krzepnącym na bazie walki sojuszu robotniczo - chłopskim pod przewodem proletariatu.

Ale w Niemczech Zachodnich rządzi amerykański imperializm, któremu wiernie służy arystokracja burżuazyjna i junkierska. Nic też dziwnego, że monopoliści z USA nie tylko nie zamierzają zdemokratyzować stosunków agrarnych w okupowanym przez siebie kraju, lecz czynią wszystko, aby dla usłużnych junkrów i obszarników zachować co najmniej dotychczasowe strefy wyzysku. Toteż wypędza się z ziemi setki i tysiące dotychczasowych dzierżawców, aby byłym obszarnikom ze wschodu dawać nowe setki i tysiące hektarów pod eksploatację. Podstawowej masie przesiedleńców nie daje się ani kawałka ziemi. A chłopów zachodnio - niemieckich bez uprzedzenia i bez wynagrodzenia wypędza się z zagród, niszczy się ich zabudowania, niweluje ziemię, aby budować amerykańskie lotniska, amerykańskie koszary, amerykańskie domy publiczne — za pieniądze zachodnio - niemieckiego podatnika.

W ślad za tym idzie przywracanie przez junkrów i obszarników systemu nieludzkiego średniowiecznego wyzysku pracującego chłopstwa. „Heuerleute" za nędzne wynagrodzenie pozostają w całkowitej zależności od pana. „Insleute" oddają połowę zbiorów dzierżawcy, niepewni dnia ani godziny. Setki tysięcy robotników rolnych, „tylko nędza zmusza dzisiaj do pracowania w warunkach tak nieludzkich, że są naigrawaniem się ze wszystkich moralnych i obyczajowych zasad" jak pisze prasa zachodnio-niemiecka. Co im pozostaje? Uciec do miasta? Ale tam szaleje bezrobocie, sięgające już liczby 3 milionów ludzi pozbawionych zarówno pracy jak i nadziei na pracę w tym systemie.

Jeżeli bowiem znowu dymią kominy zbrodniczej IG Farben a stalownie Kruppa pracują pełną parą, jeżeli znów wielki przemysł niemiecki za zgodą amerykańskich monopolistów kierowany jest przez Thyssenów, Pferdemengesów, Teer-Meerów i innych wysłużonych fi-



W NRD

nansistów Hitlera, to płaci za to lud Niemiec Zachodnich rosnącymi podatkami, lawinową zwyżką cen, bezrobociem, nędzą. Jeżeli znów na ulicach miast niemiecko - zachodnich panoszy się hitlerowska zgraja i adenauerowsko - schumacherowskie bojówki, ludobójcy stają na czele odradzającego się Wehrmachtu, a Hallstein, tuba Adenauera, wykrzykuje o granicy niemieckiej na Uralu — to płaci za to lud niemiecki terrorem i wpędzaniem go do nowych koszar na nowe mięso armatnie. Płacą Niemcy Zachodnie za zleżałą amerykańską pszenicę, choć złotego ziarna produkcji niemieckiej dosyć mogło by być dla potrzeb rynku wewnętrznego. Płacą za stare konserwy z USA, za mleko w proszku, za panoszenie się amerykańskiej soldateski, za rozbicie kraju, za utratę niepodległości.

W takiej sytuacji chłopi zachodnio - niemieccy wyraźnie stwierdzają: „Nasza praca traci wszelki sens, ponieważ magazyny żywnościowe są zawalone amerykańskimi konserwami". Bo za „opiekę" Wall Street trzeba płacić upadkiem rodzimej produkcji rolnej, nędzą podstawowych mas chłopskich. W roku 1951 powierzchnia zasiewów pszenicy w Niemczech Zachodnich stanowiła zaledwie 80 proc. powierzchni siewnej z roku 1938, powierzchnia jęczmienia — 60 proc., a ziemniaki gniły na polach, bo ludność musiała kupować ziemniaki z USA.

Drogo, bardzo drogo kosztuje ludność Niemiec Zachodnich kolonizacja amerykańska i zdradzieckie rządy marionetkowego kanclerza z Bonn. Chaos i ruina, rozsuwająca dławiące macki w rolnictwie zachodnio - niemieckim, są instrumentem, dzięki któremu USA pragną zamienić masy pracujące Niemiec Zachodnich w niemych niewolników, w uległe mięso armatnie. „Nasza praca traci wszelki sens" powiadają rolnicy z adenauerowskich Niemiec. „Tym lepiej — woła Adenauer i jego protektorzy — macie perspektywę: ginąć za nasze interesy". Ale w tym rzecz, że masy pracujące Niemiec Zachodnich, że podstawowe masy chłopskie nie chcą przelewać krwi za interesy Wall Street i rodzimych awanturników z Bonn. Chcą żyć i pracować jak żyją i pracują Niemcy w Niemieckiej Republice Demokratycznej — dla jednolitych, demokratycznych, pokój miłujących Niemiec.

W potężnym froncie narodowej walki Niemców o wyzwolenie spod buta amerykańskiego, kierowanym przez Komunistyczną Partię Niemiec, udział chłopstwa u boku klasy robotniczej jest coraz bardziej masowy. Jeszcze kułactwo, sprzymierzone z obszarnictwem i wszelkiego rodzaju wstecznictwem, próbuje swoich wpływów politycznych na wsi zachodnio - niemieckiej, jeszcze adenauerowcy wczepiają się w grupy średniackie, jeszcze tu i ówdzie udaje się montowanym przez kapitalistów organizacjom kierować na manowce nielicznych spośród robotników rolnych. Ale na wsi zachodnio - niemieckiej, od dawna rozwarstwionej klasowo, narasta, olbrzymieje coraz ostrzejsza walka klasowa, coraz bardziej świadoma, coraz bardziej konsekwentna. W tej walce nie chodzi już tylko o zmiecenie z powierzchni ziemi obszarników i junkrów, ale o Niemcy jednolite i demokratyczne, o pokój i wolność. „Dosyć krwi przelaliśmy za obce interesy. Dosyć krwi popłynęło i naszej i innych narodów za sprawą magnatów z Ruhry i Frankfurtu. Chcemy żyć w pokoju i wolności w wielkiej rodzinie bratnich narodów świata" — wołają przedstawiciele niemiecko - zachodniego chłopstwa.

Bezpowrotnie minął w Niemczech Zachodnich czas, w którym burżuazja skutecznie przechwytywała ukryte w masach chłopskich siły rewolucyjne na swoje potrzeby. W epoce rewolucji proletariackich i walk narodowo-wyzwoleńczych nic i nikt nie zdoła podstawowym masom chłopskim wmówić, że ich losy są związane z losami kapitału finansowego. Hegemonia w walce należy do proletariatu, kierowniczej siły w każdym narodzie, jedynego sojusznika i przewodnika chłopstwa w jego walce o chleb i ziemię.

Niemiecka Republika Demokratyczna weszła na drogę socjalizmu. Rezolucja ostatniej konferencji SED stwierdza: „Warunki polityczne i ekonomiczne jak również świadomość klasy robotniczej i większości mas pracujących rozwinęły się w takim stopniu, że budowa socjalizmu stała się podstawowym zadaniem w NRD". W okresie, w którym gospodarka zachodnio - niemiecka upada, zapędzona w ślepy zaułek katastrofy przez adenauerowców oraz ich rodzimych i zaoceanicznych protektorów, na wschodzie Niemiec, na wolnych ziemiach niemieckich wykonano z nadwyżką plan dwuletni, w przyspieszonym tempie realizowane są zadania pięcioletniego planu odbudowy i rekonstrukcji, rośnie produkcja przemysłowa, rośnie wydajność rolnictwa, narastają ekonomiczne i polityczne warunki pójścia o wielki nowy krok naprzód— do budownictwa socjalizmu.

Ten wielki krok naprzód, który wywalczyła sobie klasa robotnicza NRD to równocześnie nowy, o zasadniczym ciężarze gatunkowym przykład dla wszystkich Niemców pokój miłujących, dla całej niemieckiej klasy robotniczej, dla całego niemieckiego chłopstwa pracującego. Przykład który uczy, który mobilizuje Niemców od Renu do Łaby, od Łaby po Odrę i Nysę, do dalszej, skuteczniejszej niż dotąd walki o szczęśliwe życie narodu niemieckiego w jednej ojczyźnie i w rodzinie wolnych narodów, budujących socjalizm.

Tadeusz Orlewicz.

JULIAN STAWIŃSKI

CESARZ ODSZEDŁ — GENERAŁOWIE ZOSTALI

ARMIA jest zbrojnym ramieniem klasy rządzącej. Osłania stworzony przez tę klasę ustrój, realizuje jej interesy. Wartość bojowa armii i zdolność urzeczywistniania powierzonych zadań zależy, rzecz jasna, od fachowego wyszkolenia kadr. Lecz równocześnie pozostaje w prostym stosunku do siły powiązań klasowych, łączących wojsko z tą grupą, lub klasą społeczną, w której ręku spoczywa władza. Stąd dzisiaj armią najlepszą w świecie jest Armia Radziecka, której skład identyczny jest w swym przekroju socjalnym ze sprawującym władzę socjalistycznym narodem.

W epoce feudalnej armia składała się z emanacji rządzącej warstwy szlacheckiej, albo też była oparta o czynnik całkowicie fachowy w postaci wojsk zaciężnych. Najwyższym zwierzchnikiem był dynasta, przedmiot kultu stanowił wódz, zawsze dobierany spośród książąt krwi, czy rodzin magnackich. Sytuacja gmatwa się, gdy panowanie przechodzi w ręce burżuazji.

Do władzy szła burżuazja w sojuszu z ludem, sprzęgała swe interesy z jego sprawą — inaczej nie mogłaby odnieść zwycięstwa. Armie, jakie w tym czasie tworzyła, były rewolucyjne i niezwyciężone. „Państwo jest silne świadomością mas" — mówi Lenin. Wojska Waszyngtona, czy republikańskie dywizje Francji z epoki I-ej Republiki silne były poczuciem, że bronią dobra klas, z których się rekrutowały. Stopniowo jednak zmienia się ten stan rzeczy. Burżuazja czuje się zagrożona przez proletariat, nie może jednak odmienić faktu, że istnienie proletariatu jest warunkiem własnego jej istnienia. Szuka więc wyjścia w dławieniu świadomości mas, choć tym samym osłabia własne państwo; szuka sojuszu z tymi, komu niedawno jeszcze łamała kości sięgając po ster rządów: na zgiętych karkach kleru i feudałów próbuje oprzeć wątpliwą trwałość swojej potęgi. Kler i dwór szerzą i utrzymują ciemnotę na wsi, synowie obszarniczy wypełniają kadry oficerskie w wojsku. Burżuazja zastępuje im teraz królewskich pomazańców — nawet tam, gdzie zostali figuranci w koronach — z jej rąk otrzymują pasy rycerskie. Burżuazja wyznacza im zadanie i treść życia: mają wyprodukować maszynę wyćwiczoną fachowo, a tępą i ślepo posłuszną, maszynę, w której wszelki odruch świadomości, wszelki przebłysk samodzielnej myśli zabija żelazna dyscyplina i mechaniczny dryl.

Klasycznym wzorem takiej armii jest armia bismarckowskich Prus, a potem wilhelmińskich Niemiec, państwa „bojaźni bożej" wprzęgniętej w twardą służbę magnatów stalowych i junkrów. Trzon generalicji niemieckiej stanowią junkrzy. Zachowali całą swą butę, absolutną pogardę dla „źle urodzonych" oraz swoistą wiarę w niemieckiego Boga, który w ich pojęciu jest czymś w rodzaju najwyższego rangą oficera najświetniejszej armii świata. Lecz generalska hierarchia zdaje sobie doskonale sprawę, że warstwa, do której należy z pozycji wszechwładzy, zeszła do roli wasala finansowego kapitału. Wie również, że upadek jej suzerena wydzwoniłby i dla niej ostatnią godzinę. Klęska Niemiec cesarskich i powstanie weimarskiej republiki było dla generałów tylko formalnym zarejestrowaniem nowego stanu rzeczy. Ich rola czynna w tym czasie polegała na pilnowaniu, by republika nie nabrała cech demokratycznych. Kiedy zaś burżuazja w swej walce z demokracją uciekła się do ostatecznych, faszystowskich środków — generałowie murem stanęli przy niej i bez chwili wahania uznali autorytet Hitlera, jako personifikacji faszyzmu. Podobnie bez chwili wahania zdradzili swój naród, gdy burżuazja w celu utrzymania władzy sprzedała Niemcy monopolom Stanów Zjednoczonych.

Nie mogło być inaczej. Instynkt klasowy już od dawna zastąpił generałom wszelkie inne pojęcia — honoru, patriotyzmu i godności własnej. Nie mogło być inaczej, skoro tych pojęć wyrzekła się ich własna klasa, skoro wyparła się ich klasa rządząca, z którą związali swój los. Wierność generałów niemieckich wobec oligarchii wielkich monopoli jest więc wiernością pewną, do ostatka, wiernością sługi i udziałowca zbrodni — wspólnika na śmierć i życie.

Wydana niedawno książka Stanisława Szenica *) omawia w zwięzłej formie wewnętrzny mechanizm tej wierności i zdrady. Osią krystalizacyjną rozważań autora jest analiza tzw. spisków generalskich przeciw Hitlerowi. Wiemy, że na obszarze Niemiec Zachodnich prowadzona jest nader forsowna kampania, mająca na celu wybielenie Wehrmachtu. Że analogiczne wysiłki podejmowane są także w USA i w państwach zmarszalizowanych. Mogło by się wydawać, że zbyt blisko jest jeszcze rozpraw norymberskich, zbyt świeże wspomnienia niezliczonych zbrodni, aby tego rodzaju wysiłki mogły liczyć na jakikolwiek rezultat. Ale Amerykanom zanadto potrzebne jest niemieckie mięso armatnie, aby mogli odkładać próbę rehabilitacji jedynych dostawców — junkiersko - hitlerowskich generałów. Cesarz odszedł i odszedł Hitler, pozostali jednak najwierniejsi spośród sług burżuazji, która czyni wszystko, by odbudować w opinii społeczeństwa ich doszczętnie zrujnowany kredyt.

Tok argumentacji jest równie naiwny jak prosty: Hitlerowi, który zgubił Niemcy, przeciwstawiali się patriotyczni i z gruntu przyzwoici generałowie, przypłacając to nawet życiem. Nie negując faktu nielicznych zresztą i źle obmyślanych zamachów na Hitlera, Szenic wykazuje całą bezzasadność wiązania ich z jakimś nieistniejącym podglebiem opozycyjnym wśród burżuazji, a tym samym i tym bardziej wśród junkrów, którzy od upadku monarchii przestali stanowić samodzielny czynnik polityczny. Byli między junkrami nieliczni pogrobowcy feudalizmu, błędni „rycerze" marzący o przywróceniu mu dawnego blasku i wpływów. Tworzyli jednak nikłą tylko garstkę bez znaczenia i głosu w zwartej kohorcie posłusznej każdemu skinieniu imperialistycznej burżuazji. Ta ostatnia zaś nie miała powodów do niezadowolenia z Hitlera, trzymającego się ściśle ustalonych przez nią wytycznych.

Jaka zatem była istotna treść zamachów na fuehrera, powtarzających się co pewien czas przez cały okres wojny? Przedstawiony przez Szenica materiał pozwala nam zdać sobie z tego dokładnie sprawę.

Pamiętajmy więc przede wszystkim, że przez cały czas wojny toczyły się nieprzerwanie właściwie rokowania między Niemcami, a Anglią i Ameryką o pokój odrębny i utworzenie wspólnego frontu przeciw ZSRR. Miejscem spotkań były kraje neutralne, najczęściej jednak rozmowy toczyły się przy pośrednictwie i współudziale czynników najbardziej zainteresowanych w zwycięstwie faszyzmu w tej czy innej postaci — caudillo Franco i Stolicy Apostolskiej. Rozmowy toczyły się wielotorowo: między przedstawicielami sztabów, central finansowych i rządów, jak np. rozmowy Hessa z lordem Simonem, czy Ribbentropa i papieża z Myronem Taylorem i arcybiskupem Spellmanem, reprezentującymi Roosevelta.

Najbardziej uderzające jest to, że w ciągu całego trwania pertraktacji wielkie monopole przejawiały zupełną solidarność z Hitlerem. Front imperializmu niemieckiego był jednolity i jednomyślny w żądaniach i ustępstwach, czy raczej nieustępliwości. Anglo - sasi zaś w żadnym momencie nie domagali się likwidacji hitleryzmu. Przeciwnie, pragnęli go za wszelką cenę zachować. Były inne powody, o które rozbijały się pertraktacje: Amerykanie żądali wydania w ich ręce całego ciężkiego przemysłu Niemiec (tak właśnie rozumieli pojęcie „bezwarunkowej kapitulacji"), a poza tym musieli coraz bardziej się liczyć z wrogą wobec faszyzmu postawą własnego narodu. Tym się tłumaczy, że w fazie końcowej, gdy dobijano już targu, wszystkie bez wyjątku koła burżuazji niemieckiej, łącznie z naczelnym organem politycznym — partią nazistowską — postanowiły usunąć Hitlera, przeznaczając mu, dla celów przyszłej legendy „bohaterską" śmierć na szańcach Berlina. Niewątpliwie oferty Himmlera i Goeringa były podszyte ambicją osobistą: chęcią spadkobrania. Ale nagminne wyparcie się Hitlera było teraz dla burżuazji niemieckiej nakazem chwili. Stanowił już tylko balast, którego należało się wyzbyć za wszelką cenę. Hitler nawet na zdrajcę był zbyt skompromitowany. A zdrada dla junkrów i wielkich monopoli była koniecznością, była warunkiem utrzymania rządów.

Ale to nie był zamach. Burżuazja odrzuciła po prostu narzędzie, którym posługiwała się długo i skutecznie, aż wreszcie stało się niewygodne. Odtąd los Hitlera był przesądzony. Odtąd każdy zamach musiałby się udać, tak jak poprzednio żaden się nie udawał. Zresztą Hitler zrozumiał decyzję i poddał się jej — z rozpaczą i strachem, lecz posłusznie.

Spośród wszystkich skrupulatnie przez Szenica zanalizowanych prób likwidacji Hitlera jedna tylko — tzw. pucz z 20 lipca 1944 — miała nieco poważniejszy charakter. W III Rzeszy, państwie dyktatury burżuazji, Hitler został wyniesiony do godności czynnika cementującego cały aparat rządzący tej dyktatury. Zniszczenie tego ogniwa mogło pociągnąć za sobą poważny wstrząs i osłabić spoistość aparatu, a tym samym uczynić monopolistów niemieckich bardziej podatnymi do przyjęcia ciężkich warunków kapitulacji, podyktowanych w tajnych rokowaniach przez kapitał finansowy USA. Upadku ustroju nie obawiano się w tym momencie, gdyż wojska radzieckie były jeszcze dość daleko od granic Reichu. Toteż wywiad amerykański nie szczędził wysiłków dla wykonania od dawna opracowanego planu. Na wykonawców obrano grupę rozżalonych wyższych oficerów i urzędników, których łudzono perspektywą władzy. Motyw patriotyczny znalazł się, rzecz jasna, pod ręką, dostarczając zarówno uzasadnienia współpracy z obcym wywiadem, jak i argumentu na rzecz utrzymania reżimu. Innego podłoża spisek ów nie miał. Pozostałe zamachy były już czysto pałacową imprezą zawiedzionych ambicji, pozbawioną wszelkich korzeni nawet we własnym środowisku spiskowców.

Czy wobec tego studium tych spraw jest celowe? Niewątpliwie tak. Jest to jakby negatyw obrazu rzeczywistego — udziału generałów w tworzeniu mitu Hitlera, udziału zacieranego obecnie dla ocalenia legendy „niezwyciężonej armii", dla zamazania i osłonięcia klasowych rysów jej sztabu. Władza Hitlera nie pochodziła wprawdzie „z łaski bożej". Lecz że sankcjonowały ją miliony — marek i dolarów, że służyła dobrze obronie, a nawet kwitnieniu interesów junkierskich, generałowie uczestniczyli gorliwie w szerzeniu mitologii krwi, rasy i nadczłowieka. Mit, reakcyjny w treści i atrakcyjny w formie, nadawał się znakomicie na budowę kultu, ślepego i fanatycznego, poza rozumem i logiką, a który oddzielał armię od mas, czyniąc z niej podatny instrument terroru i ucisku. Burżuazja ma w swoim arsenale szereg takich środków. Przedłużają skutecznie jej panowanie, gdyż otacza je nimb czynnika na pozór samodzielnego. Na tej samej zasadzie oparte było u nas działanie piłsudczyzny. Z rekwizytorni dziejów wydobyto kostium napoleoński i mały aktor prowincjonalny z powodzeniem grał rolę „wodza". „Szary mundur" zapładniał nie tylko wyobraźnię poetów. Zbierał oklaski i na teatrze życia. A po przedstawieniu szedł zbierać żniwo — polityczne i gospodarcze — dla dyrektorów tej tragifarsy.

Finał hitlerowski „położył" główną gwiazdę sceny. Lecz zespół generalski pozostał. A skoro obecnie ma być użyty w nowej krwawej imprezie — przerabia starannie swą charakteryzację dostosowując ją do nowych dekoracji.

Szenic trzyma się ściśle ram, dość wąskich, jakie zakreślił sobie tytułem książki i dlatego nie wyprowadza wniosków precyzujących miejsce i rolę sztabu niemieckiego w układzie klasowym okresu hitleryzmu. Ale wnioski te płyną wyraźnie z całego, obficie zgrupowanego materiału. Materiał ten, ułożony chronologicznie, tworzy obraz przejrzysty i przekonywający. Wśród wielu innych wartościowych aspektów, praca Szenica ukazuje, poprzez rodzinne powiązania sztabowców niemieckich, kosmopolityzm tej kasty i jej odcięcie od własnego społeczeństwa. Ponadto zaś daje liczne charakterystyki generałów Hitlera, którzy obecnie zajmują szereg poważnych stanowisk w sztabie Ridgwaya.

Jedno z nielicznych zastrzeżeń dotyczy opinii wypowiedzianej w książce parokrotnie, jakoby „dążeniem generałów niemieckich po pierwszej wojnie światowej było ponowne uzyskanie faktycznego wpływu na rządy". Nawet przed I-szą wojną światową generałowie sami wpływu nie wywierali, jedynie jako odłam wszechpotężnych junkrów. Przed stu laty Marks pisał o Cavaignac'u, że reprezentował „nie dyktaturę szabli nad społeczeństwem burżuazyjnym, lecz dyktaturę burżuazji przy pomocy szabli".

Dziś trafność takiej oceny roli generalicji w epoce dyktatury burżuazji uwydatnia się w całej pełni.

Julian Stawiński.

*) *Stanisław Szenic, „Generałowie i Hitler", „Czytelnik", 1951.*

HELENA ZAWORSKA

CZOŁÓWKA 1952 ROKU

I.

ROK, dzielący nas od daty przyznania ostatnich nagród w dziedzinie literatury i sztuki przyniósł niewątpliwie poważne osiągnięcia pisarskie, zwłaszcza w dziedzinie prozy. Świadczy o tym nie tylko twórcze, nieschematyczne ujęcie wybranych zagadnień rzeczywistości, ale również wysoki poziom realizacji artystycznej w wielu utworach. Książki, które, wybijając się na czoło produkcji powieściowej ostatniego okresu, zostały także wyróżnione nagrodami państwowymi w roku bieżącym — to przede wszystkim „Pamiątka z Celulozy“ Igora Newerlego, „Pokolenie“ Bohdana Czeszki, „Bieg do Fragala“ Juliana Stryjkowskiego. Dwie pierwsze stanowią udaną, cenną próbę „genealogii teraźniejszości“, przedstawienia walk klasy robotniczej z sanacyjnym reżimem („Pamiątka z Celulozy“), a potem z faszystowskim okupantem („Pokolenie“). Powieści Newerlego i Czeszki ukazują historię ostatnich lat trzydziestu w pięknym obrazie heroicznych walk proletariatu, prowadzonego przez Partię. Stanowią nie tylko najlepszą u nas artystyczną dokumentację historycznego już okresu. Uczą — na dziś — rozpoznawania wrogów i konsekwentnej walki z nimi, przekonują o słuszności działania Partii, która w najtrudniejszych okresach prowadziła naród do zwycięstw, ukazują wielki, prawdziwy humanizm sprawy wyzwolenia człowieka, porywają swoją wymową artystyczną.

Książka Juliana Stryjkowskiego przenosi nas poza granice Polski, ukazuje walkę narodu włoskiego, z kapitalistycznym rządem de Gasperiego, walkę prowadzoną pod przewodnictwem Partii Komunistycznej. Rozszerza ona doświadczenia polskiego czytelnika o nowy krąg zagadnień, zbliża do życia ludu włoskiego, podkreśla jego potęgę i bojowość, napełnia pewnością, iż jednolity front międzynarodowej walki przeciwko imperializmowi musi zwyciężyć. W kontekście współczesnej prozy polskiej „Bieg do Fragala“ jest pozycją oryginalną i żywą — stanowi o tym zarówno frapująco przedstawiona i ważna tematyka, jak również sugestywna i samodzielna realizacja artystyczna.

Krąg tematyczny prozy ostatniego okresu jest zatem ciekawy i istotny. Wprawdzie żadna z wymienionych trzech pozycji nie dotyczy bezpośrednio polskich wydarzeń współczesnych, ale ich związek ze współczesnością jest tak żywy, ich poważna funkcja w naszym budownictwie nowego, socjalistycznego życia tak niezaprzeczona, że można mówić o nich jako o wielkich powieściach współczesnych.

II.

„Pamiątka z Celulozy“ Igora Newerlego należy do książek, które na zawsze zostają w pamięci. Jest powieścią, która wzrusza i przekonuje. Jest powieścią, którą ukształtowała wielką mądrość i prawda życia. Uczy ona jak rozpoznawać wrogów i jak rozumieć nieodpartą wielkość walki komunistów o szczęście człowieka i społeczną sprawiedliwość. Nie agituje frazesami, nie przedstawia też bez pokrycia, nie formułuje zdań, których by nie poparła faktami. Jest to książka, która mówi o masach i potrafi trafić do mas, zasługując w pełni na wielkie miano „eposu ludowego“. W sile artystycznego i ideowego oddziaływania, w szerokości doświadczeń i w głębokiej znajomości życia, w umiejętności konkretnego ukazania praw historycznego rozwoju leży potęga tej książki która posiada cechę, właściwą tylko wielkim dziełom: jest wiernym obrazem epoki, ukazującym piękno życia komunistów, uczącym mądrej miłości i mądrej nienawiści, oddającym hołd rewolucyjnej walce.

„Pamiątka z Celulozy“ to opowieść o walce włocławskiego proletariatu w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Fakty narastania fali rewolucyjnej, akcje masowe, ważniejsze wydarzenia zostały tu odnotowane w losach poszczególnych bohaterów. Książka Newerlego ukazuje trudny odcinek walki klasowej. Wyzysk jest w pełni uprawomocniony przez rząd kapitalistyczny, a życie komunistów — jak mówi Madzia, jedna z najpiękniejszych w naszej literaturze postaci kobiety - rewolucjonistki — trwa krótko, najwyżej rok, między jednym więzieniem a drugim. Dojrzewanie mas ludowych do rewolucyjnego działania, do organizowanej przez Partię walki z wyzyskiem jest treścią książki. Postać Szczęsnego, głównego bohatera powieści, stanowi wspaniałe uogólnienie tego procesu. Od buntowniczego, nieprzystępnego samotnika, poprzez ciężkie doświadczenia bezrobocia i kapitalistycznego wyzysku, dojrzewa Szczęsny do świadomego udziału w zorganizowanej walce, staje się pełnowartościowym członkiem KPP. Ani jeden etap na tej drodze Szczęsnego nie jest zmyślony, nieusprawiedliwiony psychologicznie, podany jako fakt dokonany. Szczęsny należy niewątpliwie do grupy, nielicznych w naszej współczesnej literaturze postaci, które są żywe, które pasjonują i wzruszają, których wzrost obserwuje się w każdym niemal posunięciu. Postać Szczęsnego to literacki przykład człowieka, który potrafił zrozumieć swoją epokę i znaleźć w niej dla siebie miejsce.

Ogromna znajomość życia, umiejętność przedstawiania warunków bytu różnych środowisk, mistrzostwo w określaniu żywych, pozo-



rys. St. Gierowski

stających w pamięci postaci, sprawiają, że Newerly potrafił dać obraz o epickich wymiarach. Szkoła życia Szczęsnego jest jednocześnie podbudowana szerokim tłem wydarzeń tamtych lat; ludzie, których spotykamy na kartkach „Pamiątki z Celulozy“ są najpiękniejszymi reprezentantami rewolucyjnej walki proletariatu i chłopstwa. Madzia Borzęcka, Olejniczak — wspaniały typ towarzysza partyjnego. Marusik, Staszek, ludzie z „Celulozy“ i z Rzekucia — oto porywające przykłady ludowej mądrości i wytrwałej walki rewolucyjnej.

W powieści rozstajemy się ze Szczęsnym w chwili, gdy postanawia on jechać na pomoc czerwonej Hiszpanii. Akcent solidarności z walczącym przeciwko faszyzmowi ludem hiszpańskim kończy książkę o tych czasach, kiedy rodzimy faszyzm bezskutecznie próbował złamać opór walczącej klasy robotniczej. Optymistyczna perspektywa zwycięstwa mas ludowych zawarta jest na kartach powieści, która pierwsza w dziejach prozy polskiej potrafiła ukazać bohaterstwo i piękno walki klasy robotniczej o wyzwolenie ludzkości.

III.

Książka Czeszki jest pierwszym w naszej literaturze właściwym, partyjnym uogólnieniem artystycznym dni okupacji faszystowskiej. Zdobywa ona tę rangę przez ukazanie przodującej roli klasy robotniczej, przez przedstawienie tych sił w narodzie, które decydowały o istnieniu i nasileniu walki z okupantem faszystowskim. Skupienie uwagi na wybranym odcinku: działalności ZWM-u w jednej z dzielnic okupowanej Warszawy, pozwoliło przedstawić rośnięcie człowieka, siłę partii i narodu — w przekonywającym, zindywidualizowanym obrazie. Dzieje warszawskiej młodzieży robotniczej dorastającej do ZWM-u, historia tworzenia i krzepnięcia organizacji — to doskonale wybrany temat powieści Czeszki.

Stach, syn robotnika, jedna z głównych postaci książki, „Sękaty“, który zginie heroiczną śmiercią w czasie jednej z akcji i wiele innych postaci to reprezentanci tego środowiska. Ich wszystkich wychowała twarda dola robociarskich dzieci. Wchodząc do ZWM-u tworzą jego mocny, klasowy trzon. Czeszko daleki jest jednak od zasady tzw. socjologistycznej reprezentatywności. Bohaterowie - robotnicy są zróżnicowani psychologicznie, ich reakcja na ideologię partii jest ukazana przez Czeszkę w całym skomplikowaniu spraw życia. Jednocześnie — opowieść o losach przyjaciela Stacha, Jurka — drugiej centralnej postaci książki, syna inteligenta, sympatyzującego niezdecydowanie z ruchem robotniczym, ukaże trudną nieraz drogę inteligenta do zrozumienia ideologii Partii.

Czeszko rysuje rzeczywistość w rozwoju, ludzi — w procesie wyrastania, tworzy obrazy dynamiczne i dialektyczne. To decyduje o prawdzie i sile przekonywania książki. Wielki przełom światopoglądowy, rośnięcie ideowe, przekrój przez psychikę bohaterów, wszystko to mówi o ludziach żywych, o szeregowych bohaterach walki. Miłość do życia i człowieka, nienawiść do podłości konstruują losy bohaterów-komunistów, nadają ton powieści, ton prawdziwego humanizmu. Ale powieść Czeszki nie odznacza się jednostronnością obrazu okupacji. Kostek, sprzedający złoto z zębów z odrąbanych ludzkich głów — przerażający symbol zdziczenia, przedstawia w powieści „drugą stronę“ okupacyjnego życia — „czasu pogardy“ — poniżoną i zdeptaną godność człowieka. Tę „drugą stronę“ reprezentuje również młody poeta-egzystencjalista w wydaniu AK.

Czeszko umie zaznaczyć rysującą się w mrokach okupacji perspektywę zwycięskiej, ludowej przyszłości, niosącej ze sobą rewolucyjne przemiany. Bez perspektyw natomiast ukazana jest walka w powstaniu warszawskim, tragicznej pomyłce bohatersko walczących z okupantem hitlerowskim mas i ohydnej zdradzie narodu przez dowództwo AK. Oddaje tę atmosferę obraz beznadziejności, zaskoczenia, z jakim bohaterowie powieści przyjmują powstanie. Wolność ukażą im dopiero ognie, wzniecone



Rys. St. Gierowski

przez działanie Armii Czerwonej i Wojska Polskiego na praskim brzegu. Tak został pomyślany akcent końcowy powieści: zaznaczenie bezustannie przez Czeszkę podkreślanego wpływu frontu wschodniego na sytuację w kraju. Jak czuły sejsmograf reagują bohaterowie „Pokolenia“ na każde posunięcie Armii Czerwonej. Z walką narodu radzieckiego związane są nadzieje mas na wyzwolenie — to jest prawda o dniach okupacji, o istotnym stosunku narodu do walki toczącej się na frontach Europy.

Prawdę okupacyjną oddaje Czeszko nie tylko w zarysowaniu głównych problemów, lecz również w drobnych realiach, w całej atmosferze okupacyjnego życia. Trudno w paru uwagach zawrzeć analizę wielkiej, nieprzeciętnej powieści. Ukazuje ona wprawdzie sprawy minione, lecz ukształtowały ją doświadczenia etapu walki o budownictwo socjalistyczne, wielka batalia o pełny kształt ideowy i artystyczny dzieł realizmu socjalistycznego.

IV

Przeniesienie akcji powieści współczesnej poza teren Polski może stanowić niekiedy próbę ominięcia trudnych i nie zawsze dostatecznie głęboko ideologicznie i klasowo przez autora rozszyfrowanych zagadnień naszego współczesnego życia. Trudniejsza sprawdzalność szczegółów, pozorna możliwość większej ogólnikowości w stawianiu i rozwiązywaniu problemów stanowiły niekiedy ucieczkę od krajowej tematyki współczesnej. Zarzut ten nie dotyczy jednak książki Juliana Stryjkowskiego. „Bieg do Fragala“ nie jest powieścią, poprzestającą na ogólnikach, spłycającą zagadnienia do powierzchownie zaobserwowanych faktów. Autor zna życie włoskiego ludu; książka uderza bogactwem szczegółów, dokładną znajomością terenu i środowiska, a przede wszystkim: znajomością życia włoskiego chłopa i metod jego walki.

Akcja „Biegu do Fragala“ zamyka w sobie jeden z licznych i charakterystycznych dla współczesnej wsi włoskiej etapów walki o ziemię, która w latyfundiach obszarniczych leży odłogiem. Pierwsza, najsilniejsza faza walki obejmuje lata 1945-46. Akcja „Biegu do Fragala“ przypada na rok 1949. Wieś Rocca di Zolfo po raz drugi występuje do walki o barońskie odłogi. Po raz pierwszy w roku 1945 walka zakończyła się wydartym obszarnikom zwycięstwem. W cztery lata później Partia posiada już większe doświadczenie i większe zaufanie ludu. Działalność partii nadaje formy organizacyjne walce całej ludności. Bitwa o dolinę Fragala, zabraną baronowi przez chłopów, ilustruje wielką rewolucyjną bojowość ludu włoskiego, który pod przewodnictwem partii komunistycznej potrafi walczyć o swoją wolność.



rys. St. Gierowski

„Bieg do Fragala“ jest książką, która w dojrzały artystycznie sposób (do nielicznych błędów należy może szkicowość niektórych postaci, statyczność scen pierwszej części) ukazuje walkę ludu włoskiego z reakcyjnym rządem de Gasperiego, przedstawia znaczenie i wpływ partii komunistycznej na to, co dzieje się w kraju — umożliwia więc prawidłowe spojrzenie na dalsze etapy walki narodu włoskiego o wyzwolenie.

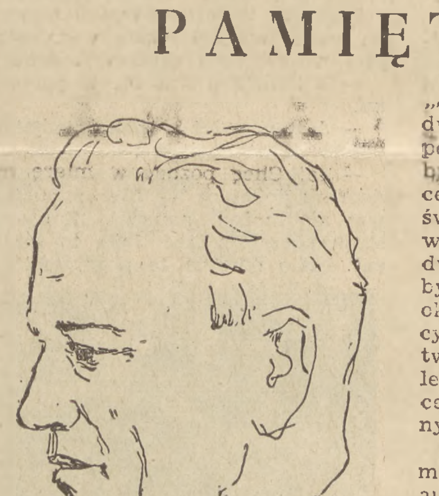
*

Omówione trzy powieści, wyróżnione przed tygodniem najzaszczytniejszym odznaczeniem — nagrodą państwową, dostarczają materiału do twierdzenia, że nasza literatura współczesna potrafi nie tylko zdobyć się na pełną, trafną, klasową analizę rzeczywistości, ale umie ją także przekazać w porywającym, przekonywającym kształcie artystycznym. Literacka czołówka roku 1952 sygnalizuje pełny triumf metody realizmu socjalistycznego.

Helena Zaworska

JÓZEF RURAWSKI

PAMIĘTNIK Z PIERWSZEJ LINII



Albin Bobruk
laureat Państwowej Nagrody Literackiej
Rys. St. Gierowski

TRADYCYJNE pamiętniki burżuazyjne, pisane w pierwszej osobie, w centrum zainteresowań stawiały osobę autora, jego przeżycia psychiczne lub fakty i zdarzenia w jakich brał udział. Te fakty, zresztą, i zdarzenia miały przeważnie na celu wydobycie i podkreślenie wartości psychiczno-etycznych autora, jego doznań i odczuć niepowtarzalnych i przeważnie niezwykle perwersyjnych. Rzecz prosta, że tego rodzaju formy pamiętnika spowodowały, iż był on właściwie wyprany z doświadczeń i wartości społecznych, niewiele mówił o sytuacji politycznej i społecznej w kraju w okresie międzywojennym. W pewnych wypadkach pamiętnikarz odpowiednio dobierając fakty zniekształcał rzeczywistość stosownie do swojego stanowiska ideologicznego. Najbardziej zaś postępowe pamiętniki bezrobotnych i chłopów, pisane na konkursy urządzane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, były niemiłosiernie kastrowane przez cenzurę sanacyjną. Toteż z ich kart przebijał jedynie ciemny obraz życia, nędza, głód, poniewierka, a nie widać było walki jaką prowadziła klasa robotnicza i chłopstwo pod kierunkiem KPP. Dlatego robotnicy przemycali swoją prawdę w postaci nieco zamaskowanej, w formie nieokreślonych marzeń. Były to marzenia ludzi okrutnie krzywdzonych przez ustrój sanacyjny, ludzi z których wielu czynnie działało w szeregach zdelegalizowanej KPP.

Do takich należy *Albin Bobruk* autor pamiętnika *„Matka i syn“* *) który w 1951 roku na konkursie Polskiego Radia otrzymał za swoją pracę pierwszą nagrodę. W roku bieżącym w dniu Święta Odrodzenia książka Bobruka uzyskała zaszczytne wyróżnienie: Nagrodę Państwową III stopnia. Co wpłynęło na decyzję Komisji Państwowych Nagród Literackich? Jakie wartości utworu zadecydowały o nagrodzie?

Czytającego pamiętnik Bobruka uderzy wielkie podobieństwo do pamiętników Lucjana Rudnickiego *„Stare i nowe“*. Więzią łączącą te dwie książki jest skrystalizowana, pełna świadomość ideologiczna. Obydwaj pisarze postawili sobie za cel główny ukazanie narastania świadomości klasowej w walce o wyzwolenie klasy robotniczej. Obydwaj pisarze pochodzą ze wsi i obydwaj są samoukami. Różni ich okres działania i pracy konspiracyjnej. Rudnicki opisuje walkę tworzącego się dopiero ruchu proletariackiego, Bobruk pisze o walce KPP w okresie międzywojennym.

Ale przyjrzyjmy się bliżej pamiętnikowi Bobruka. Dzieciństwo autora wspomnień upływało na wsi w rodzinie robotnika, aresztowanego „za bolszewizm“. Wcześnie poznał Bobruk gorycze życia. Jako dziewięcioletni chłopiec był już „głową rodziny“, pomagał matce w utrzymywaniu młodszego rodzeństwa. Wcześnie przeszedł wszystkie stopnie pracy najemnej na wsi. Wcześnie też zaczął szkołę nienawiści i walki klasowej. Jest wielką zaletą autora, iż pamiętnik, pisany w latach dojrzałości politycznej, potrafił w pierwszych rozdziałach przystosować do rozumowania kategoriami dziecka, nie tracąc nic z ostrości ideologicznej. Oto np. fragment rozmowy między babką, a ciotką, u której mały Albin miał pasać bydło: „Mamo — odezwała się żurawim głosem ciotka — śpicie? Nie — odpowiedziała babka, której nie zdążyłem jeszcze poznać. — Co myślicie o nowym pastuchu? Da on sobie radę? Da, — da — odpowiedziała pokasłując babka. Dzieci Weroniki mądre, bieda ich nauczyła. — Ja nie o tym, mamo. Zrozumcie, trzeba by Czarnocie pomóc. U nich także pastucha nie ma. — Może to i dobrze — odpowiedziała babka. — Zarobiłby chłopiec z ćwiartkę żyta na zimę. — Aha, wy zawsze o drugich myślicie — z urazą burknęła ciotka — czyj to chleb on będzie jadł, Weroniki (matka autora — JR) czy mój? — To choć przez zimę trzeba go będzie przetrzymać — proponowała... babka. — Ani myślę karmić czyjeś bachory. Pokąd będzie pasł, dotąd będzie u nas, a jak bydło stanie na oborze, hajda do domu“. Oto jak bez żadnego komentarza autor ukazuje klasową sytuację wsi i wyzysk, którego dokonuje się z Bogiem na ustach. Ciotka była bardzo religijna i starannie pilnowała odbywanie praktyk religijnych. Tak samo ostro ukazuje autor „dobroć“ kułaka, bezlitośnie niszczącego siły młodego chłopca. W częściach opisujących pracę rodziny Bobruków na folwarku widzimy jak wyzysk jest już usystematyzowany i poddany rygorowi. Widzimy także pierwsze próby walki, kończące się fiaskiem ze względu na niską świadomość polityczną robotników folwarcznych i strach przed utratą miejsca i znalezieniem się na bruku.

Lata młodzieńcze to lata kształtowania się świadomości klasowej. Kontakt z bardziej uświadomionymi robotnikami, własna przenikliwość i spostrzegawczość, chęć i zapał do nauki — wszystko to sprawiło, że autor pamiętnika zaczął inaczej patrzeć na życie. Bobruk opisuje metody walki robotników o przyjęcie do sezonowej pracy. Terror indywidualny był bronią często stosowaną. Pierwsze strajki w jakich brał udział młody Albin ukazały mu jak silny był wpływ Rewolucji Październikowej i jaki przed nią strach ze strony „chlebodawcy“.

Odważne wystąpienia dyskusyjne spowodowały kontakt z młodzieżą KZMP-owską, a to z kolei stało się wyznacznikiem całej dalszej drogi życiowej Bobruka. Teraz rozpoczęła się niezwykle wytężona praca konspiracyjna. Organizowanie strajków, agitacje, walki z łamistrajkami nasyłanymi przez prawicę ruchu robotniczego — spowodowały uwięzienie autora. Cztery lata, które spędził w więzieniu to okres niezwykle ciężkiej i trudnej próby duchowej i fizycznej. Straszliwe metody policji, katowanie i tortury nie złamały młodego komunisty. Pobyt w więzieniu był także okresem wytężonej nauki. I znowu widzimy podobieństwo do losów Lucjana Rudnickiego, który swój uniwersytet kończył w więzieniu. Tę drogę przechodzili prawie wszyscy aktywiści partyjni. W więzieniu także uczył się Bobruk socjalistycznego stosunku do ludzi. Karty opisujące działania komuny więziennej, należą do najlepszych w powieści. Wspaniała, nieugięta postawa komunistów, ich solidarność i troska o ludzi, każą z szacunkiem pochylić głowę przed bohaterstwem bojowników o lepsze jutro.

Po wyjściu z więzienia dalsza wytężona praca partyjna i gorączkowe poszukiwanie pracy, której człowiek z „piętnem“ komunisty nie mógł znaleźć. Autor opisuje tu kształtowanie się w latach 1936—38 sojuszu robotniczo-chłopskiego i rozbijacką robotę prawicy ludowej, idącej na ugodę z rządem sanacyjnym, zamazującej konflikty klasowe na wsi. Tu już spojrzenie na rzeczywistość jest całkowicie dojrzałe. Z każdego zdania przebija pasja rewolucjonisty i spojrzenie wykrystalizowanego ideologicznie człowieka. Tragiczny wrzesień, chaos, zamieszanie, zdrada i tromtadractwo, paniczna ucieczka dygnitarzy i jednocześnie strach przed komunistami, których nie puszcza się na front, kończą jedną część książki.

Następnie widzimy autora w Związku Radzieckim. Jego pobyt w ZSRR to przeciwstawienie strasznym dniom nędzy i poniewierki. Troska o człowieka, serdeczny stosunek do Polaków i pomoc, w okresie dla Związku Radzieckiego niezwykle ciężkim, wszystko to opisane jest w słowach tchnących miłością i wdzięcznością dla Kraju Rad. Jednocześnie autor ukazuje machinacje kliki andersowskiej, która korzystając z gościny na sowieckiej ziemi, knuje intrygi przeciw ZSRR i terroryzuje działaczy lewicowych.

Przyjazd do Polski, niepewność wśród reemigrantów, działalność agentów Mikołajczyka, plotki i brudne szepty, strach przed nowym życiem opisane są niezwykle żywo i przejmująco. I wreszcie obrazy radosnej lecz ciężkiej twórczej i wytężonej pracy dla Polski Ludowej zamykają książkę Bobruka.

Pamiętnik Bobruka różni od przedwojennych przede wszystkim jasna, zdecydowana podstawa ideologiczna. Autor ukazuje nie tylko nędzę i poniewierkę, nie tylko wyzysk, głód i podłości, lecz także i walkę ostrą i nieubłaganą. Ukazuje wspaniałe postaci komunistów.

I tu tkwi druga różnica między pamiętnikami przedwojennymi a omawianą książką. Mimo, iż pamiętnik pisany jest w pierwszej osobie, w centrum zagadnień stoją nie osobiste czyny i przeżycia bohatera, lecz sprawa typowego, ogólnego kształtowania świadomości rewolucyjnej i kierowniczej roli partii. Z każdej strony przebija przywiązanie i szacunek dla kierowniczki mas pracujących. Toteż autor ukazuje zupełnie wyraźnie, że jego działalność, jego czyny były kierowane przez partię, że partia czuwała nad jego rozwojem ideowym. Dlatego też, mimo iż książka opisuje rzeczy wielkie i bohaterskie, autor skromnie pozostaje w cieniu jako jeden z wielu wykonawców zadań stawianych przez KPP, ta skromność także dodatnio wyróżnia pamiętnik Bobruka.

W powodzi spraw ogólnych, masie faktów politycznych nie tracimy jednak indywidualnego oblicza autora. Jego cechą osobistą jest wielka miłość do matki, o której świadczy i tytuł książki. Martyrologia matki, jej walka o wychowanie dzieci, poświęcenie i troska opisane są niezwykle serdecznie, z uczuciem wielkiej miłości i podzięki. Dlatego też książka jest tak żywa i wzruszająca. A przecież napisał ją nie literat-fachowiec. Napisał ją człowiek, który wiele przeszedł, wiele widział, który walczył w pierwszej linii i spróbował podzielić się swymi doświadczeniami ze społeczeństwem. Udało mu się to dobrze. Książka napisana jest z werwą i ostrą ironią. Nie sposób powstrzymać się od cytatu. Oto co autor pisze o rewizjach leśniczych, szukających kradzionego drzewa: „Tłumaczenia nasze i matki, że są to gałęzie z lasu chłopskiego nie zawsze pomagały. Spróbuj tu dowieść, czym różni się drzewo chłopskie od pańskiego — mamy tylko wzgląd na wasze dzieci — mówili panowie w zielonych mundurach — inaczej poszlibyście do kryminału za złodziejstwo. — I odmów serca tym ludziom. Mogliby przecie postąpić inaczej“.

Ukazanie prawdy o walce klasy robotniczej, rewolucyjny optymizm, jasność i przejrzystość kompozycji i zajmująca fabuła sprawiły iż książka Bobruka słusznie została wyróżniona Nagrodą Państwową.

Józef Rurawski

*) *Albin Bobruk — „Matka i syn“ PIW 1952, str. 225*

BRONISŁAW HRYBKO

ZWYCIĘSKI MELDUNEK

Konotop, 19 lipca 1952 r.

POWIADAMIAM Redakcję, że od przyjazdu z Warszawy ze Zjazdu Korespondentów Chłopskich starałem się ze wszystkich sił wywdzięczyć państwu naszemu ludowemu i za zaproszenie na zjazd, i za chleb który tam jadłem i za ten przejazd na koszt państwa do Warszawy.

Aby się wywdzięczyć za udział w tym pięknym zjeździe, różnymi metodami, ile moich sił starczyło pracowałem nad przekonaniem swoich sąsiadów i założeniem w naszej wsi spółdzielni produkcyjnej.

Dziś z radością donoszę, że wczoraj o godz. 3 po północy po długich naradach został u nas podpisany przez 11 chłopów Statut Spółdzielni Produkcyjnej. Tylko trzech się nie zgodziło i odeszło na bok: a to Noga Jan posiadający 7 ha, Antczak Michał również średniorolny i Kurkowska Anna gospodarująca na 1 hektarze. Ale my się na nich nie obrazili i będziemy pracować, żeby ich do spółdzielni przekonać i przyciągnąć do nas. Ja sam sobie to uroczyście przyrzekłem, że nie spocznę dopóki ich nie przekonam.

Na zebraniu z początku nie łatwo szło, przemawiałem i ja, ile tylko posiadałem zdolności, dopiero gdy pierwszy sam podpisałem statut, a ze mną podpisała i moja żona i kilku najbliższych kolegów jeszcze z wojska (bośmy wspólnie te nasze Ziemie Odzyskane wyzwalali), a także ruszyli się i inni do podpisu i tak pomaleńku znalazło się jedenastu.

Podpisując statut podkreśliłem, że „jako sołtys Wasz muszę dać od razu przykład innym i tak rozpocząć robotę w spółdzielni żeby od początku widać było, że dawna władza gromadzka potrafi być karnym członkiem zespołu spółdzielczego“ Wstałem więc i oświadczyłem, że od razu daję wkład do spółdzielni konia, krowę i parę świń i inwentarz martwy, bo myślę Droga Redakcjo że najważniejsze na początek, to dać samemu dobry przykład. Tego już nie powiedziałem, ale tak sobie postanowiłem, że będę się starał być w tej spółdzielni naszej przodownikiem. Nadaliśmy tej spółdzielni nazwę „Zwycięstwo“ taką samą nazwę, jak ta spółdzielnia o której sztukę pokazano nam w teatrze podczas Zjazdu Korespondentów w Warszawie, bo wtedy właśnie przyglądając się temu przedstawieniu przyrzekłem sobie, że jak tylko powrócę do domu to i u nas zorganizujemy spółdzielnię. Nazwa jest dobra, bo teraz wszyscy jej członkowie na pewno będą współzawodniczyć o lepsze plony, o lepszy stan hodowli, z innymi spółdzielniami w powiecie choszczańskim. Bo jakżeż by to było, żeby spółdzielnia „Zwycięstwo“ szła na szarym końcu?

Szanowna Redakcjo dużo byłoby do pisania o naszych planach i zamiarach, ale na razie piszę tylko ten meldunek, bo brak mi czasu i jednej chwili wolnej, już przecież 23 lipca zaczynamy wspólnie żniwa, przy tym inne wsie naszej gminy wezwaliśmy do współzawodnictwa w akcji żniwnej, a musimy przecież zwyciężyć.

Bronisław Hrybko

TADEUSZ MURAS

O POZYTYWNYM BOHATERZE NOWEJ WSI

WYBÓR i właściwe zarysowanie postaci pozytywnego bohatera w powieści o nowej wsi polskiej jest centralną sprawą książki, decydującą niejednokrotnie o jej ideowej i artystycznej randze. Przekonywająca wymowa losów i wewnętrznego rozwoju tej postaci, umiejętność oryginalnego i różnorodnego ukazania powiązań człowieka z losem gromady to podstawowy warunek szerokiego oddziaływania powieści. Niestety jednak na odcinku tym utrwaliły się w naszej literaturze niedobre schematy ujęcia postaci bohatera pozytywnego, utrwalił się jeden tylko typ działacza — doskonałego i wszechwiedzącego agitatora partyjnego. Stacho Lebioda w *„Rodzinie Lebiodów"* Gałaja. Świderski w *„Ludziach zza rzeki"* Bartelskiego, Rajtan w *„Sprawie Marcina Piechoty"* Koprowskiego, Władek we *„Wspólnej dolinie"* Piętaka, Ślimak w *„Gorących dniach"* Niziurskiego, Kard w *„Zapomnianej wsi"* Mortona, Jasienkowski w *„Opowieści wierzbowej"* Dróżdż-Satanowskiej — to dojrzałe ideologicznie jednostki, które niestrudzenie uczą i korygują innych, same natomiast w przeważającej większości wypadków nie przeżywają żadnych konfliktów, nie żyją bliskim i zrozumiałym dla czytelnika życiem. Podobną rolę spełniają Franek Miazga w opowiadaniu „Młodzi Miazgowie" Dunarowskiego, narrator w zbiorku reportaży Kuśmierka i większość przyjeżdżających do wsi w ramach akcji łączności miasta ze wsią robotników. Najbardziej jeszcze udaną postacią wśród nich jest Stacho Lebioda — dzięki dokładnemu ukazaniu przez autora jego pracy nad skromnie zakrojonymi początkowo reformami, a także Feliks Piegza w *„Wiosennym deszczu"* Dunarowskiego — dzięki bogatym obrazom literackim, które odsłaniają tajemnicę, jaką zwykle otaczana jest przeszłość pozytywnego bohatera. Pozostali z nich są od razu uzbrojeni w ideologię po uszy (nie wiadomo gdzie i jak się tego nauczyli), często przychodzą do wsi z zewnątrz. Rozwijają swoją agitację od razu wokół spraw najtrudniejszych, z pominięciem etapów pośrednich.

Co oznacza taki model pozytywnego bohatera? Oznacza on przede wszystkim dobrą wolę pisarza, następnie to, że pisarz wie o kierunku przeobrażeń w kraju, o ich słuszności i o kierowniczej roli partii i że to właśnie stara się w swej powieści zobrazować. Ba! Ale to stara śpiewka sprzed pięciu lat. Tego samego dokonał już w latach 1947—48 Antoni Olcha — pisząc niedocenionyny wtedy „Most nad urwiskiem". On pierwszy stworzył obowiązujące do dziś typy pozytywnego, negatywnego i wahającego się bohatera, w wielu wypadkach nawet ciekawsze, niż dał o tyle późniejszy rok 1951.

Ustalony jak dotąd model pozytywnego bohatera literatury o wsi oznacza więc, że pisarze zatrzymali się na tym poziomie ideologicznego rozwoju, jaki osiągnął pierwszy utwór o wsi współczesnej. Każdy rok przynosił próby powieściowe pisarzy, poruszających sprawy wsi na tym etapie po raz pierwszy. Żaden z nich nie pogłębił jednak swego spojrzenia na rzeczywistość i nie dał nowego i lepszego opracowania postaci nowego bohatera.

Ustalony w naszej literaturze o wsi typ pozytywnego bohatera właśnie dlatego nie oddaje istotnych cech współczesnego człowieka, ponieważ jest gotowy ideologicznie i wyprany z wszelkich procesów rozwojowych. Tak rozumiany pozytywny bohater działając z gotowym na wszystko argumentem ogranicza inicjatywę wsi do możliwości solidaryzowania się z nim lub przeciwstawienia się jego działalności. Utwór o takim bohaterze nie tylko nie ukazuje istotnej cechy naszej rzeczywistości, jaką jest szeroka aktywność mas, ale nawet jej przeczy.

Bohater pozytywny naszej literatury, który w intencjach autora ma reprezentować partię i jej kierowniczą rolę w życiu, nie może spełnić tych zamierzeń, ponieważ w praktyce pisarskiej kierownicza rola partii przerodziła się w działalność jednostki, a oddziaływanie partii na masy ograniczone zostało do agitacji i działalności agitatora partyjnego. Źródła przeobrażeń naszego życia są daleko szersze i głębsze niż oddziaływanie uświadomionych jednostek. Jest to tylko jedna z bardzo wielu dróg, którymi przenikają do świadomości ludzi nowe sprawy. Chłopa zmienia nowa rzeczywistość, którą tworzy klasa robotnicza. To jest najważniejsza droga, którą wkracza na wieś socjalizm. Jest to droga konsekwentna, wiążąca chłopa ekonomicznie z państwowymi planami gospodarczymi, z miastem które zabiera ludzi ze wsi, z pojawiającymi się na wsi nowymi narzędziami i sposobami produkcji w rolnictwie, z działalnością w miejscowych organach władzy terenowej, z polityką wobec bogaczy wiejskich, ograniczającą kułacki, krzywdzący chłopa wyzysk i spekulację, z kontrolą instytucji gospodarczych działających na danym terenie, która opiera się głównie na czujności miejscowych ludzi. W tym wszystkim dopiero widać rolę partii w całej pełni. Tych form politycznego oddziaływania nie zastąpią najbardziej sugestywnie sformułowane słowa agitatora, ani najlepszy jego referat na opisywanych w literaturze zebraniach. Te formy politycznego oddziaływania budują mocną więź ekonomiczną między wsią a klasą robotniczą, między chłopem a państwem. Tworzy się ona w głębokiej walce wewnętrznej, jaka toczy się w psychice samego chłopa. Ograniczając się w praktyce literackiej do ukazywania agitatora partyjnego, jako głównego źródła przeobrażeń na wsi, pisarz musi z kolei ludzi, których tworzy, pozbawić tych wszystkich istotnych w losach człowieka przeżyć, które wiążą się z ich osobistą działalnością, kierowaną w zmienionych warunkach naszej rzeczywistości, przez własne doświadczenie, własną inicjatywę. Biorąc to wszystko pod uwagę i ukazując bohatera w szerokim kontekście rzeczywistości, pisarz może stworzyć człowieka żywego, pełnego pasji, może oddać żywy język jego wystąpień i emocjonalną siłę opisywanych spraw, ponieważ będą one wiązały się ściśle z losem bohatera, z położeniem jego rodziny, z jego gospodarstwem.

Czy chłop na tym poziomie świadomości, na którym potrafi jeszcze w warunkach gospodarza, planującego na własną odpowiedzialność połączyć się z planem państwowym, rozwinąć umiejętność korzystania z nowości technicznych i organizacyjnych, jakie wprowadza na wieś nasze państwo, to nie ciekawa postać naszej rzeczywistości? Proces ten jest bardzo istotnym etapem, prowadzącym chłopa w konsekwencji do spółdzielni produkcyjnej. Te sprawy winien przeżyć przede wszystkim pozytywny bohater naszej literatury. Przeżycia z tego zakresu ukazane w należytej proporcji stanowią istotną treść pozytywów współczesnego chłopa. Z drugiej strony wydaje mi się, że ukazywać okres głębokich przemian na wsi i nie brać należycie pod uwagę chłopa przywykłego do wielu obaw i kalkulacji ukształtowanych w ustroju kapitalistycznym, tego chłopa, który dziś spotyka się z nowymi sprawami i wymaganiami, jakie nakłada na niego socjalistyczna gospodarka planowa, to znaczy nie pokazać żadnej sprawy wsi współczesnej. A wziąć te sprawy należycie pod uwagę można tylko wtedy, jeżeli autor każe je przeżywać naczelnej i najbardziej pozytywnej postaci utworu.

W tym miejscu pragnę zwrócić uwagę na powieść Koprowskiego pt. *„Sprawa Marcina Piechoty"*, gdzie głównym bohaterem jest „wahający się średniak" Marcin Piechota, który przekonywa się do spółdzielni produkcyjnej. Wydawałoby się, że utwór z tak ciekawym założeniem kompozycyjnym winien dać bardzo cenne rezultaty. Jakież sprawy kazał Koprowski przeżyć Piechocie? Kompleks religijny z którego prawdopodobnie Piechota wyleczył się, gdy kilku kułaków za sprawą partii zostało zdemaskowanych. Przy okazji autor wstawił do utworu przerastającą nakreślone ramy życia sprawę spółdzielni produkcyjnej z pominięciem wszystkich problemów istotnych dla chłopskiego gospodarstwa, z którymi chłop spotyka się wciąż w ciągu kilku lat, poprzedzających kolektywizację. Czyżby takiego kryterium selekcji materiału uczyły dyskusje z czytelnikami? Wysunięcie Marcina Piechoty na naczelne miejsce w utworze dokonane zostało przy zachowaniu takiego samego schematu, jakim dotknięte są pozostałe utwory o wsi, polegające na unikaniu problemów, którymi żyje wieś, lub na ich ograniczaniu do symbolizującej wszystko walki z kułactwem. Pozytywny średniak dostał się do utworu oczyszczony uprzednio z tych wszystkich spraw, jakimi żył w rzeczywistości. Pod tym względem spełnia on, mimo naczelnej pozycji w utworze, tę samą rolę jaką spełniają we „Wspólnej dolinie" chłopi, o których autor w ogóle nie wspomniał. Sekretarz partii i kułak utrzymali i tu decydującą o wszystkim rolę.

Podobną, choć wydawałoby się odwrotną sytuację, reprezentuje powieść Niziurskiego pt. *„Gorące dni"*. Utwór, jakkolwiek przynosi wiele ciekawych obrazów z życia wsi na etapie spółdzielni produkcyjnych, nie reprezentuje dostatecznej wiedzy o funkcji, jaką te zjawiska spełniają na wsi. Z udanych (i dobrych w oddzielnych fragmentach) sytuacji, jakich wiele w „Gorących dniach", nie zawsze autor wyciągnął należyte konsekwencje dla bohaterów. U Niziurskiego jak i u Koprowskiego rzeczywistość pozostaje bez głębszego wpływu na życie bohatera. Stacho mimo intencji autora pozostał postacią drugoplanową, bladą i mało pozytywną. Jego aktywizacja dokonała się (podobnie było z Piechotą) dopiero w momencie powszechnych „nawróceń", gdy akcja powieści przechyliła się w stronę szczęśliwego zakończenia. A to jest wielki błąd w kompozycji, wynikający stąd, że całość problematyki wsi i utworu sprowadza się do sekretarza partii. Ślimak, patron opatrznościowy Pałysa, jest jota w jotę podobny do Rajtana z powieści Koprowskiego. Schemat: sekretarz — kułak i tu odgrywa dominującą rolę.

Najciekawszą natomiast sprawą naszej rzeczywistości są procesy przemian tysięcy ludzi, którzy dwa lata temu nadawali się do roli powieściowych „czarnych charakterów", a dziś trzeba ich zaliczyć do najlepszego aktywu terenowego. Wydaje się sprawą bezsporną to, że żaden z tych ludzi nie przeskoczył żadnego z etapów rozwoju ideowego, jakie przechodzi chłop polski. Fakt, że człowiek jakiś dojrzewa szybciej niż inni świadczy, że znalazł się on na którymś z etapów swego rozwoju w specjalnych warunkach, które jego rozwój przyśpieszyły. Przy rysowaniu kompozycji utworu pisarze winni zwrócić szczególną uwagę właśnie na te warunki, ponieważ ich obraz może uwydatnić prawa społecznego rozwoju, rządzącego zarówno tym wyjątkowym wypadkiem, jaki był udziałem pozytywnego bohatera, jak i procesem wolniejszego rozwoju, jaki przechodzili na własny sposób wszyscy inni ludzie.

Pomyłka naszych pisarzy tkwi jeszcze i w tym, że zwykle cały proces dojrzewania chcą widzieć jako jeden olbrzymi skok od pozycji nieufności wobec partii i wszystkiego, co ona sobą reprezentuje, do zgody na wszystko bez zastrzeżeń. (Patrz końcowe fragmenty każdej powieści o wsi). Jest to błędne, idealistyczne a nie marksistowskie rozumienie rozwoju. Chłop — bywa przecież i tak — może pałać nienawiścią do kułaka, a równocześnie nie mieć jeszcze zaufania do spółdzielni produkcyjnej i partii. Żaden utwór nie pokazał należycie, że droga do socjalizmu polega na powolnym przekonywaniu chłopa przez umacnianie jego spójni z państwem ludowym, przez powolne przechodzenie chłopa od zrozumienia wspólnych interesów gospodarczych, od niewielkiej początkowo, ale niezmiernie doniosłej wychowawczo współpracy, która z czasem doprowadzi go do szerokiego ogarnięcia perspektyw nowego życia. Pozytywny bohater na wąskiej początkowo ścieżce, która ma go doprowadzić do socjalizmu — oto temat dla naszej literatury o wsi. To są procesy typowe — procesy masowe.

Mówimy, że pozytywny bohater wyprzedza innych w rozwoju. A więc pokażmy chłopa, który pierwszy powysyłał dzieci do szkół, a teraz uświadomił sobie, że jego szkapa chodzi za wolno i przydałby się jakiś mały „traktorek". Może się on jeszcze wcale na spółdzielnię produkcyjną nie godzić, ale wiadomo, że technika, która staje się mu już niezbędna, wciągnie go także na tory nowego życia. Pozytywny bohater od momentu, w którym wyprzedził w znacznym zakresie innych, staje się wszak zwolna agitatorem. Jakkolwiek nie jest skończony w swoim rozwoju ideologicznym, potrafi działać na własnym terenie, bo mało, że zna ten teren, ale sprawy tego terenu to sprawy jego gospodarstwa, jego bytu i bytu jego rodziny. W tym działaniu dojrzewa dalej, bo sprawy obchodzą go żywiej niż innych. Czasem broniąc swych pozycji (np. w sprawach „traktorka" czy kontraktacji maku) ze względów ambicjonalnych musi się chwycić spraw dalszych. Tak przecież rośnie człowiek, tak kształtuje się jego doświadczenie życiowe, tak kształtuje się jego psychika, jego namiętności i jego stosunek do ludzi, którzy rozwijają się lub cofają, wzrastają, przerastają go, lub marnują. Człowiek taki rozumie często nie wszystkie sprawy swego terenu, popełnia wiele błędów, nie potrafi sformułować żadnego uogólnienia, słowo „socjalizm" wymawia zazwyczaj z zaimkiem wskazującym „ten", a mimo to jest pozytywną, rosnącą postacią naszego życia.

W naszej literaturze natomiast zapanowały trzy błędne sposoby rysowania postaci pozytywnego bohatera i jego wielkości:

1. Pozytywny bohater naszej literatury działa w osamotnieniu. Pozostali chłopi są bądź kompletnie ciemni, bądź tak słabi, że przysparzają mu tylko kłopotu. Ciemnota wsi i słabość współtowarzyszy to konieczne warunki pracy wiejskiego świętego. On sam zaś jest gotowym produktem nieznanych procesów, a więc działalność jego może nam ukazać zaledwie kilka rysów nowego życia. Metoda cudownych nawróceń, następujących w kulminacyjnym momencie rozwoju akcji, jest tylko parodią rzeczywistych procesów. Głębokie przeobrażenia gospodarcze i jeszcze głębsze procesy społeczne mogą być ukazane tylko przez obraz życia wielu ludzi — szerokiego kolektywu wiejskiego. W praktyce jednak nasi pisarze unikają zwykle ukazywania kolektywu, w którym wyrastałby pozytywny bohater. Między pozytywnym bohaterem a wsią istnieje najczęściej dystans.

2. Postać pozytywnego bohatera naszej literatury pozbawiona bogatej przeszłości walk i wahań ideowych, wsparta jest przez autora wyłącznie „dobrym" pochodzeniem społecznym, do tego ukazanym w powieści schematycznie, w ankietowej formie (Pałys, Ślimak, Rajtan, Jasienkowski, Świderski i inni). Na błędność tej metody zwracał już uwagę Jerzy Putrament *).

3. Pozytywny bohater naszej literatury odsunięty przez pisarza od sytuacji, które kształtowałyby jego świadomość i osobowość, nagradza sobie podobne braki w ten sposób, że pokonuje, prócz trudności związanych z jego polityczną działalnością, różne trudności rodzinne. Stąd wszystkie żony ze środowiska kułackiego u Gałaja, Piętaka, Dróżdż-Satanowskiej, Niziurskiego. Pewną odmianę tej sytuacji stanowią niedorastające do poziomu pozytywnych bohaterów ich żony (Aniela w „Wiosennym deszczu", Weronka i żona Karola w „Zapomnianej wsi" Mortona). Podobną rolę spełnia ojciec Lebioda u Gałaja oraz żony, przeszkadzające bohaterom swą przesadną troskliwością („Most nad urwiskiem", „Sprawa Marcina Piechoty"). W ten sposób autor chce załatwić dwie sprawy: upewnić czytelnika o dojrzałości politycznej pozytywnego bohatera i ukazać jego prywatne życie. Jest to jednak niestety często tylko formalny zabieg, ponieważ sytuacje podporządkowane głównemu celowi ukazania wielkości bohatera nie odgrywają żadnej roli w procesie tworzenia tej wielkości i mogłyby być z powodzeniem w całości wykreślone.

Postać pozytywnego bohatera powinna być przez autora tak ustawiona, by w jego życiorysie uwydatniona została doniosłość najważniejszych etapów jego ideowego rozwoju. One winny być tymi węzłowymi momentami w jego życiu, w których splata się najostrzejsza, najbardziej zacięta walka starego z nowem. Tylko wtedy utwór pokaże człowieka w należytych wymiarach, tylko wtedy koleje życiowe bohatera pozostaną w pamięci czytelnika na długo i spełnią należytą rolę wychowawczą. A tego waloru tak bardzo jeszcze ciągle brak naszej literaturze.

Tadeusz Muras

*) *Jerzy Putrament: „O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950—1952". „Nowa Kultura" nr 25, 1952.*

ZDZISŁAW KUBALSKI

NA PRZEDWOJENNYM TARGU *)

TĘGI osobnik w jasnej cyklistówce podszedł nagle do fury Zawadki i złapał świnię za nogę. Szarpnął mocno, aż kwiknęła, obrócił zamaszyście i począł gnieść, obmacywać po brzuchu, grzbiecie, pośladkach. Do Zawadki nic nie gadał, jakby był niemową.

Wszyscy troje, wstrzymując oddech, patrzyli na te zabiegi. Przy furze zjawił się zaraz drugi handlarz, trzeci i czwarty. Ten, który tłamsił świnię, spytał nagle głośno:

— Co ma być gospodarzu, za tego plewniaczka?

— Sto pięćdziesiąt — mruknął niepewnie Zawadka.

Wszyscy czterej zarechotali tak potężnym śmiechem, że aż się przelękła i Zośka i świnia. Grubemu, temu w białej czapce, podskakiwała aż dewizka na brzuchu.



Foto J. K. Maciejewski

— Sto pięćdziesiąt? — złapał się za daszek w ten sposób, jakby chciał czapką grzmotnąć o kamienie bruku.

— Czterdzieści... — bąknęła nieśmiało Zawadkowa.

— Cichaj!!! — zgromił ją Zawadka, aż poczerwieniała i zwracając się do handlarzy, spytał:

— A panowie co?

Gruby był chyba najważniejszym handlarzem, bo ci inni nic nie odpowiedzieli, on zaś wygiął usta, jakby się namyślając, wsadził czerwone, przybrane sygnetami paluchy do kieszeni spodni i zbliżywszy się nieco do Zawadki powiedział ciszej:

— Dziesięć dych dać?

— Co? — rzucił się Zawadka — ale zaraz zmitygował się i odparł spokojniej:

— Czterdzieści... Powiedziało się mojej, niech tam! — machnął ręką niby to z rezygnacją. — Sto czterdzieści...

— Razem z tym misiem chyba na dokładkę! — parsknął złym śmiechem gruby.

— Z jakim misiem?

Gruby pokazał palcem na Zośkę. Spiekła raka od wstydu, Zawadka zaklął pod nosem, a tamci, rżąc śmiechem, poszli już między inne wozy.

Po godzinie czekania Zośce chciało się już płakać. Kupcy podchodzili jedni za drugimi, żartowali sobie, gnietli pięściami świnię, a gdy usłyszeli cenę zaraz odchodzili, krzywiąc się, lub kpinkując obelżywie. Jednemu, który o wiele dłużej niż inni męczył świniaka, zacenił już Zawadka sto trzydzieści, ale i ten odszedł. Wielu pytało tylko o cenę i odchodziło, nie oglądając się nawet na świniaka.

Zawadkowa liczyła właśnie drobne pieniądze w chustce, gdy Zośka przypomniała sobie o swojej pięćdziesiątce, którą dał jej „inżynier". Za namową Jaśka nic o niej nie mówiła rodzicom, zamierzała wziąć skrycie do Kałuszyna i coś sobie kupić, i... zapomniała. Pięćdziesiątka leży w schowku, a Zośka tu, w Kałuszynie teraz, Boże...

— Hej, kupcowa — ile dać za tego kota?

Spojrzała Zośka. Ojciec poszedł gdzieś między wozy, matki również nie było, a tu przy świniaku zatrzymali się dwaj nieznajomi. Jeden naprawdę patrzył na świnię, a drugi ciekawiej na Zośkę, czekając na odpowiedź.

— Sto pięćdziesiąt—szepnęła nieśmiało.

Tamci uśmiechali się i nie patrząc już wcale na świnię, podeszli bliżej Zośki.

— Sto pięćdziesiąt, ho, ho, panienka się umiesz cenić — powiedział zaczepnie młodszy.

Zmrużył przy tym jakoś dziwnie oko, że zmieszana Zośka spuściła nisko głowę. Ale w tej chwili przypomniała sobie nagle ile ostatnio cenił ojciec i szybko odpowiedziała:

— Sto trzydzieści...

— Fiuuu, to z panną prędko można interes ubić — mrugnął znów ten młodszy. — Jeszcze trzy takie sztychy i do siedemdziesiątki dojedziem — nie?

Zośka nie wiedziała co na to odpowiedzieć, wybawił ją z kłopotu kolega młodszego.

— Gadaj panna. ile dać naprawdę, żeby się długo nie klechtać.

— No... sto trzydzieści.

— Tak, żeby kupić gosposiu — żartował, wyciągając rękę do zgody. — Weźmiem, jak Boga kocham...

— Sto trzydzieści—wyjąkała prawie z płaczem, patrząc ponad głowami kupców, czy nie nadchodzi ojciec.

Młody, stojący z boku, dosyć miał tego targu. Kiedy Zośka po raz trzeci wyjąkała swoje „sto trzydzieści", strzyknął przez zęby ślinę i mrużąc łobuzersko oko mruknął Zośce w samo ucho:

— Razem z tobą, sraluchu, co?

Gdy podniosła oczy, już ich obu nie było przy furze.

Zawadkowej potrzebne były dwa garnki, skopek i sitko do cedzenia mleka. Drasaki odkładała na później, po żniwach miała robić większe zakupy. Nawet na te garnki nie miała teraz pieniędzy, poszła tylko obejrzeć i wybrać. W drodze przypomniała sobie, że urzędnik przyjdzie do wozu pobrać placowe. A Zawadka nie ma przy sobie ani grosza. Zawróciła więc z połowy drogi szybko z powrotem.

Nie omyliła się, przyszedł urzędnik z teczką i kwitami w ręce. Szybko wypisał kartkę, zabierając Zawadkom ostatnie grosze. Co miał załatwić — załatwił, nie drażnił się, ani nie targował tak, jak handlarze.

Chłop, z którym Zawadka rozmawiał rano, ten, co przywiózł w klatce wielkiego wieprza, sprzedał go wreszcie w samo południe. Zdejmował koniowi torbę, klął na czym świat stoi, wygrażając pięścią handlarzom, którzy odeszli już z jego wieprzem. Gdy Zawadka podszedł do niego, rozpłakał się jak dziecko.

— Chłopak nogę wsadził w kierat, wiecie, za doktora muszę płacić — ot, dlaczego zmarnowałem. Żeby nie to — krzyknął, waląc się w pierś — nie sprzedałbym, niech skonam! A żeby ich łotrów trąd stoczył! — nie przestawał kląć handlarzy.

Nawet nie powiedział, za ile sprzedał. Wskoczył na wóz, huknął z rozmachem konia kozicą i już go nie było. A Zawadka splunął, wracając do swojej fury.

Głodni byli wszyscy troje. Zawadkowa miała już iść kupić chleba za ostatnie dwadzieścia groszy, ale coś ją jakby trzymało przy wozie.

— Może się ktoś trafi jeszcze — łudziła się nadzieją. — Za jednym zachodem pokupują drobiazgi, a pojeść w drodze można, na wozie...

— Kupcy zlisili się, czy co u diabła... — myślał znów Zawadka. — W Kałuszynie to tak zawsze. Nic pewnego nie ma. Nieraz to rwą, do placu nie dopuszczą, wyłapując po drodze, a drugi raz, to ci pies z kulawą nogą nie przyjdzie i cępij. Tfu!

Zły był, głodny i bez machorki. W gardle mu zaschło od rozmów z handlarzami. Znów oto podszedł jakiś młody z gołą, rudą głową, w połatanych portkach.

— Ile? — spytał, głośno klepiąc dłonią świnię po zadkach.

Zawadka rzucał krótkie spojrzenia na ospowatą twarz ryżego wyrostka i złość w nim rosła. — Kupiec zasrany się znalazł, oberwaniec jakiś, przybłęda... — pomyślał, wcale nie odpowiedziawszy chłopakowi, aż ten, nieco zdziwiony, zaczepnie i hardo burknął:

— No co, wodę macie w gębie?

Tego było za wiele na nerwy Zawadki.

— Paszoł won, szczylu! — wrzasnął, nie wytrzymując z irytacji. — Won, bo cię kłonicą zdzielę, rudzielcu!

Spojrzeli od najbliższych wozów. Zawadkowa i Zośka milczały przestraszone, a „szczyl" wyjął ręce z kieszeni i niespodziewanie przystąpił krok bliżej do Zawadki. Chwil kilka nic nie mówił, tylko widać było, jak mu szczęki chodzą nerwowo.

Patrzyli sobie obaj w oczy, jak dwa wilki. Wreszcie ryży powiedział spokojnym — zdawało się głosem.

— Ty bucu chamski, jak się rypnę w zęby, to ci wszystkie z mordy wylecą, eeech...!

Podniósł pięść z rozmachem, Zośka krzyknęła przeraźliwie, a Zawadka się nieco skulił. Nie uderzył jednak ryży, odszedł do grupki swoich kolegów, którzy stali w pobliżu, obserwując cały przebieg zajścia. Coś tam jeszcze gadali, gdy podszedł do nich, jeden złożoną pięścią jak maczugą pomachał Zawadce, opierając łokieć o biodro, drugi splunął w stronę wozu, po czym wszyscy odeszli. Dopiero teraz wyszeptała Zawadkowa:

— Józef, bój się Boga, nie zaczynaj z łobuzami w mieście. Tu ich jak psów, gwiźnie taki jeden i dziesięciu leci... Noża ci wpakuje i... Co ty.

Zawadka skoczył nagle do konia, zszarpnął mu ze łba pustą od dawna torbę i krzyknął:

— Jedziem do domu. A niech ji piorun spali i kałuszyńskie targi!!!

Milczały obie. Głodna Zośka dopiero teraz przypomniała sobie obiecywaną przez cały tydzień „kałuszyńską chałkę". Nie śmiała napomknąć, odżałować nie mogła wciąż pozostawionej w domu pięćdziesiątki od „inżyniera".

Nie wyjechali jeszcze z placu, na którym odbywały się świńskie targi, gdy ktoś energicznie położył Zawadce rękę na ramieniu.

— Stać! — padł krótki, stanowczy rozkaz.

Przy wozie stał granatowy policjant. Zośka zerknęła tylko na grubą, gumową pałkę przy boku granatowego i dalej bała się patrzeć.

Policjant badawczo łypnął oczami na konia, obszedł wkoło wóz, spojrzał na świnię i raptem zauważył.

— Z tablicą u was nie w porządku.

— Jest przecież — pokornie jakoś odpowiedział Zawadka.

— Jest, jest! — ze złością przedrzeźnił policjant. — Ale porządku was nie można nauczyć. Z której strony przybita, co? Jaka to tablica? Kto odczyta te pogryzmolone



Foto J. K. Maciejewski

kulfoniska? O, tak jak tam ma być — pokazał ręką na wyjeżdżający właśnie z placu wóz, zaopatrzony w przepisową, blaszaną tablicę z nazwiskiem, przybitą z właściwej strony. — Chłopa to tylko karą porządku nauczysz! — mruczał, wyciągając z torby ołówek i papiery.

— Panie komisarzu — odezwała się płaczliwie Zawadkowa, nie czekając, aż policjant oznajmi, ile trzeba płacić kary — my nie mamy ani złotówki, ani jednej złotówki. Niech pan ma Boga w sercu, mój kochany, tablicę zrobimy dobrą, jak tylko zajedziem do domu.

— Ani złotówki nie macie, a świniaka kupiliście?

— Nie. My sprzedać przywieźli.

— Więc gdy sprzedacie, zapłacicie karę.

— Sprzedamy, to zapłacim, tak jest — wtrącił skwapliwie Zawadka, aby tylko pozbyć się natręta i wykręcić od pośmiewiska, bo dokoła wozu zaczęli się gromadzić liczni gapie.

— Książkę wojskową dajcie — rozkazał niespodziewanie granatowy.

Gdy wyjął ją powoli Zawadka spod czapki, gdzie nosił i podał, policjant wypisał kwit karny i spytał, wsuwając go między kartki Zawadkowej książki.

— Wiecie, gdzie posterunek główny?

— Wiem — odpowiedział bezmyślnie stropiony Zawadka, bo naprawdę to nie wiedział.

— Jak sprzedacie świnię — uśmiechnął się szyderczo policjant— zgłosicie się na posterunek i to tam odbierzecie — dokończył, potrząsając w powietrzu książeczką. Odchodził od fury, aż wolno zmieszał się z grupą rudzielca, która znów się pokazała, jakby na niego oczekując.

Zdzisław Kubalski.

*) *Fragment większej całości.*

ZBIGNIEW ZALEWSKI

Rysunki Ireny Blicharskiej

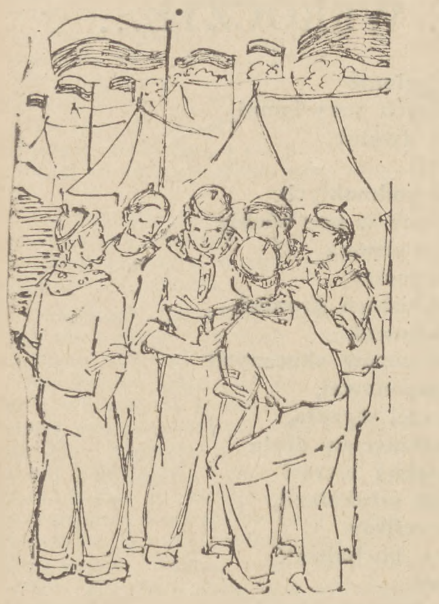
ZLOT MŁODYCH

ZE wszystkich stron Polski pędzą pociągi na Zlot do Stolicy.

Na granicach miasta zielone żagle namiotów witają chłopców i dziewczęta pieśnią wiatru, a dalej w głębi, wzruszeni widokiem młodości mieszkańcy Warszawy. Kolorowe światła zapalają okolicę, wibrują szepty i coraz weselsze melodie. Piosenka budzi echem piosenkę, póki nie złączą się w jeden potężny hymn.

W nocy spadł deszcz i rozpachniały się drzewa. Olszynkę Grochowską rozbudził metaliczny głos trąbki. Miasteczka Zlotowe na Wierzbnie, na Rakowcu i we wszystkich stronach Stolicy zabarwiły się kwiecistymi chustkami dziewcząt i chłopców. Megafony zapowiadały kolejność imprez artystycznych. Grupa dziewcząt na uboczu stworzyła barwny wieniec w pochyleniu głów przybranych w chustki i kwietne wianki. Wysoka, smukła dziewczyna wiedzie rej.

— Halo, halo — ozwały się naraz wszystkie megafony — przodownicy



wyznaczeni do odznaczeń — zbiórka koło wozów. Jankowi Garysiowi brak tchu w piersiach, on przodujący z huty, ma dostać odznaczenie za pracę. Oczy chłopaka promienieją szczęściem, pieszczą w spojrzeniach roześmiane buzie dziewcząt i wybiegają hen ku błękitnemu niebu rozmarzone, jak nigdy dotąd. Na tle zieleni i słońca tyle radości! A wokół domy stolicy witają trzepotem flag swych najlepszych synów i kwiaty spadają na błękitny asfalt pod stopy maszerujących roboczych kadr. I czerwono-żółte i błękitno - białe czapeczki, chustki trzepoczące na ciepłym wietrze, grają kolorami jak najpiękniejsze z kwiatów.

✻

Na dworce warszawskie, udekorowane czerwienią i błękitem, napływają wciąż nowe brygady przodowników pracy. Pojedyncze piosenki wciąż łączą się i przeplatają nawzajem, wybuchają w śródmieściu, dając wyraz wspólnoty przekonań, wyraz dążności do jednego, najpiękniejszego celu, nowego człowieka.

Na rogu Brackiej zator pojazdów wstrzymał przez chwilą tramwaj przepełniony dziećmi. Płowe i czarne czupryny wychylają się przez otwarte okna wagonów.

Chłopcy i dziewczęta ogarniają rozrzewnionymi oczyma tłum zebrany po obu stronach ulicy. Najstarsza dziewczynka zaintonowała wysokim głosem wesołą pieśń i już cała grupa podchwytuje i niesie melodię w głąb tłumu. To dzieci NRD witają śpiewem Stolicę Polski.

Nigdy dotąd na ulicach Warszawy niemiecka pieśń nie niosła braterskiego pozdrowienia. Jakaś stara kobieta podbiega ku złotowłosemu chłopcu i całuje jego zaróżowioną twarzyczkę. Łzy spływają po bruzdami porytej twarzy i łączą się ze wzruszeniem zebranych dokoła ludzi.

Ze wszystkich wylotów wytryskują zastępy młodych. Spleceni ramionami maszerują tanecznym krokiem ku brzegom Wisły. Tłumy falują po obu trotuarach i płyną radosnym grzmotem oklasków za młodymi przodownikami. We wszystkich prawie językach, a jedną melodią, zerwała się nad stolicą pieśń braterstwa. Zwolna zapada granatowy wieczór.

Orkiestra Polskiego Radia gra znane melodie i estrady zadudniły pod nogami tancerzy. Regionalne stroje zagrały w świetle lampionów orgią barw.

Kolor nieba przechodzi coraz mocniej. w czerń. Wytryskują sztuczne ognie i płoną jak gwiazdy nad głowami dziewcząt i chłopców. Fioletowy reflektor oświetla wokoło drogi i ścieżki, po których ująwszy się pod ręce, spacerują ze sobą młodzi ludzie. Na naramiennikach jasnych bluz można odczytać napisy: — Katowice — Poznań — Berlin — Łódź — Opole.

Po przeciwnej stronie Wisły wznosi się inna estrada. Zespół młodych recytuje „Komunę Paryską" Władysława Broniewskiego. Potem na scenę wbiega grupa dziewcząt przybrana w stroje radzieckie, za nimi w pląsach podążają wysocy chłopcy. Sasza Kuźniecow, młody lejtnant uśmiecha się szeroko, czarnowłosa Joaśka w biało - karmazynowej sukience wyciąga ku niemu ręce. Jeszcze jeden żwawy skok i powirowali po tryskającej śmiechem estradzie.

Wybrzeże Wisły zawirowało parami. Popielato ubrany Koreańczyk zaprasza Danusię Z. do zadzierżystego oberka. Na czarnym, jak atrament, niebie wybuchają coraz to wyżej i wyżej sztuczne ognie. Czerwone kwiaty rozpryskują się w amarantowe gwiazdy. Wachlarze palm z niebieskich przechodzą w pąsowe. I naraz nad głowami tańczących rozwijają się lśniące napisy: „Pokój" we wszystkich językach świata. Najwyżej rozwija się Portret Stalina i wszyscy zaczynają skandować: — Stalin — Stalin...

„Na niebie Warszawy" — przemawia żarliwym głosem, francuski speaker — „płoną światła w różnobarwnych kolorach wszystkich flag na świecie. Na niebie Warszawy lśnią wielkie gwiazdy". Głos jego jest coraz bardziej wzruszony. — „Reflektory padają na drogi, żeby oświetlić ludzką radość, twarze młodych przodowników pokoju. A dawniej zapalały się po to, by dopaść człowieka i uśmiercić! Ślemy wam pozdrowienia młodzieży świata, my tu znad Wisły!" — Z kolei przemawia drugi speaker w języku angielskim, potem niemieckim. W krąg zatarły się różnice dzielnic i krajów.

✻

60 tysięcy młodzieży złożyło na Placu Zwycięstwa uroczyste ślubowanie na Konstytucję. A przecież, gdy powtarzali słowa przysięgi, wydawało się, że na Placu zaległa cisza — tak spokojnie, zwarcie, nieporuszenie stały szeregi. Tylko w pełnych napięcia chwilach ręce podnoszą się wolno do góry, jak gdyby utwierdzały głęboką prawdę wypowiadanych słów.

— *Umacniać władzę robotników i chłopów...*

— *Walczyć z ciemnotą, zacofaniem i przesądami...*

— *Nieprzejednani wobec wrogów ludu i obcych najmitów...*

Przysięga dobiega końca. Na trybunie, uśmiechnięty, wzruszony Prezydent - nauczyciel, wódz, przyjaciel. W tej chwili wzbiło się w górę 25 tysięcy białych gołębi...

✻

W miasteczkach zlotowych młodzi przodownicy stali ziemiami. Ziemiami też poszli w lipcowym pochodzie — każda starając się wydobyć to, co w niej jest szczególne i najcenniejsze: swe bogactwo i piękno, swe tradycje, teraźniejszość i przyszłość, o którą walczy.

Szły więc Katowice: czarne pióropusze górników, wieże kopalni i piece hutnicze.

Szła pod skrzydłami orła piastowskiego młodzież odzyskanego Wrocławia — długimi rzędami narodowych chorągiewek Polski i NRD przypominając o pokojowej granicy na Odrze i Nysie. Dalej wielki wagon, dzieło młodzieży Pafawagu i gęste snopy pszenicy, zbiory najliczniejszych w kraju spółdzielni — dwie dumy Dolnego Śląska.

Ziemia krakowska, znaczona tradycjami walk Kościuszki i Dembowskiego, Kasinki i Semperitu wyszła z dźwiękami mariackiego hejnału, kapeli zbójnickiej i krakowiaka. Na końcu rusztowania i piece Nowej Huty — wskazują drogę nowego Krakowa.



Kołysały się nad głowami młodzieży gdańskiej białe sieci rybackie, z rąk młodych marynarzy wyrastały wysokie maszty okrętów, złote wieńce pszenicy niosła młodzież z bogatych Żuław.

Lublin — idąc pod znakiem miasta Bieruta i PKWN — pochlubił się Fabryką Samochodów Ciężarowych, Zielona Góra — Dychowem i Gorzowem, Opole — Kędzierzynem i Brzegiem.

A na końcu gospodarze — młodzież odznaczonej Krzyżem Grunwaldu Warszawy. Tym nie trzeba już było makiety — ponad głowami wszystkich wznosił się marmurowy Plac Konstytucji — dzieło warszawskich murarzy. Ale nieśli za to symbol Warszawy niedalekiej przyszłości — dar radzieckiego narodu — wystrzelający wieżami Pałac Kultury.

Wspaniała, barwna panorama zjednoczonej ojczyzny — Polski Manifestu Lipcowego i Sześciolatki!

Każdego, kto widział Zlot, uderzyło na pewno głębokie przywiązanie i duma młodzieży ze swojej ziemi: uderzyło nie tylko na defiladzie, ale także w strojach i tańcach, w słowach i pieśniach o naszym Śląsku, naszym Lublinie, naszej Łodzi, naszej Warszawie. Było tam nawet jakieś ciche, nieujawnione współzawodnictwo. Pamiętam, jak się zmartwiły młode prządki z Łodzi, kiedy przyparty do muru przyznałem, że jednak lepiej mi się podobały w pochodzie Wrocław i Gdańsk, a chyba także Katowice i Zielona Góra.

Duma regionalna... Ale już nowa zupełnie duma — jakże różna od przeklętej spuścizny dzielnicowych antagonizmów i waśni.

Trzy razy szedłem z młodzieżą zlotową. Mijały się wtedy dziesiątki kolumn z różnych stron kraju — a nie zdarzyło się ani razu, aby nie posypały się z obu stron okrzyki i pozdrowienia. Pamiętam, gdy mijaliśmy młodzież śląską (a szedłem wtedy z Łodzią) zabrzmiało ułożone na prędce pozdrowienie: „łódzkie prządki i śląscy — górnicy — to są Polski przodownicy". Wiele podobnych pozdrowień zrodziła gorąca atmosfera Zlotu. I chyba na tym



polega jedno z największych osiągnięć Zlotu, że młodzież wyjechała zeń wzbogacona wiedzą o bogactwie i pięknie innych ziem Polski, wzmocniona osobistym przeżyciem głębokiej więzi z młodymi budowniczymi Ojczyzny na wszystkich jej krańcach.

✻

Kiedy słońce skryło się za jasne domy MDM, plac rozkołysał się znów okrzykami radości. Orkiestra gra walce. Co chwila tancerz zwalnia z objęć dziewczynę umajoną kwiatami i woła wzruszonym głosem: — Niech żyje Konstytucja! — Starsi ludzie zebrani dokoła przyglądają się temu dotąd niespotykanemu weselu.

Młody student akademii szkicuje z werwą sylwetki przodowników pracy.

— Niech żyje młodość — niech żyje nasza Ludowa Polska! Niech żyją wszyscy dobrzy ludzie pragnący pokoju! — Zewsząd nie milkną wśród hucznych tonów orkiestry gromkie wiwaty. A pary wirują na białym placu Konstytucji niby kwiaty w czarodziejskim świetle lampionów.

W miasteczkach Zlotowych młodzież wita poetów. Władysław Broniewski pierwszy raz ujrzał tak wielkie zastępy swoich miłośników. Jest wzruszony i żeby pokryć to wzruszenie, unosi zaciśniętą pięść w górę i woła — Mocniej, mocniej, naprzód przyjaciele! — Mały jasnowłosy chłopczyk recytuje wiersz Tuwima „Lokomotywa". Uwieńczony uśmiechami pozwala się brać na ręce i całować w wielkie, zielone oczęta. Ulicami miasta tanecznym krokiem odmaszerowują ku dworcom najmilsi goście stolicy.

Na rogu Filtrowej siwowłosa staruszka powiewa chustką, co chwila wzdychając do roześmianych twarzy.

— Żegnaj Warszawo! — wołają dziewczęta i chłopcy. Z rozwartych okien kamienic wychylają się głowy mieszkańców i wyciągają dłonie ku maszerującym pod oknami przodownikom.

Czołem najlepsza młodzieży Polski! Czuwajcie nadal na swych placówkach budowy socjalistycznej przyszłości. My wam z całego serca pomożemy. **Zbigniew Zalewski.**

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PRZYGODA W PODRÓŻY

O, przedziwne spotkania! O, stacje na torze
Zaszyte w głąb nieznanej dalekiej podróży!
O was marzyłem tęskny o każdym wieczorze
I wtedy nawet, kiedy byłem chłopcem dużym.
W wysokich krzakach nocy lśnią zielone oczy.
To wabią semafory, otwierając wjazdy...
I z szumem lokomotyw w sercu mi się toczy
Osnuty tajemnicą ekspres świata każdy.
Jesienią na stacyjkach opadały liście.
W trawie późny blask słońca piętą lata migał.
Kiedyś i ja dojrzałem. Była, oczywiście,
W mym życiu walka, lecz nie było przygód.
Dopiero teraz, kiedy lat czterdzieści przeszło
Koła pociągu w rytmie wystukały twardo,
Spotkałem się w podróży z mą przygodą pierwszą,
Tak prostą i tak dziwną, że aż nieodgadłą.
Miał odbyć się mój odczyt w hucie szkła w „Hortensji".
Jechałem wcześnie. Ranek jasne loki sypał.
Aż gdzieś na małej stacji miałko żwir zachrzęścił.
Pociąg przystanął. Chłopiec do wagonu przypadł.
Otworzył drzwi i wskoczył. Gwizdnął. Ręką skinął.
Miał ruchy jakby tutaj wsiadł razem z pogodą.
Gdy się obrócił do mnie z roześmianą miną
Patrzyła z jego oczu moja dawna młodość.
No cóż, dzień dobry chłopcze! Miła niespodzianka.
Więc ty mnie najlepszego już bez skaz powtórzysz?
Zeszyty, książki z głębi wyzierały rańca...
Tak, uczy się codziennie... I nawet w podróży.
Dojeżdża z wioski. Ojciec z małorolnych. Stamtąd
Wielu poszło do miasta kształcić się, do huty...
— Dziś dobry czas! — Radośnie ruszył u drzwi klamką
I wskazał bliski Piotrków dymem hut osnuty.
Wyrośnie z niego tęgi hutnik, to bezsprzeczne.
A może wynalazca lub inżynier, technik?
Już dziś odrabia — mówi — najstaranniej lekcje
I jedzie do Warszawy na Zlot wśród najlepszych.
Ruderą brzydkich przedmieść mignął w oknie Piotrków.
— Zmienimy Polskę! — W oczach dwa olbrzymie
Hutnicze piece. Rękę moją ścisnął mocno
I wysiadł, nim zdążyłem spytać się o imię.
Śledziłem moją młodość na peronie w tłumie.
Romantyzm? Ale jaki! Ten, co świat przemienia!
I grały najradośniej w dnia zgiełkliwym szumie
Niedokonane pieśni mojego marzenia.

HELENA WIELOWIEYSKA

SPÓŁDZIELNIA KOBIET

KAŻDY by chciał lepszego życia — mówi Aniela Paszak po zwiedzeniu zasobnej już i doskonale zagospodarowanej spółdzielni produkcyjnej w Marszowicach. — Każdy by chciał, ale kto wie jak to będzie. — Aniela Paszak pochodzi z Harmęży w powiecie oświęcimskim, z okolic, w których rozdrobnienie gospodarstw dochodzi do największych granic.

W drugim dniu wycieczki chłopów podkrakowskich do spółdzielni produkcyjnych województwa wrocławskiego zaczęliśmy się już powoli poznawać.

— Kto wie, jak to będzie — mówi Paszakowa. Jest dobrze ubrana, jak wszystkie uczestniczki wycieczki, ale po jej zmęczonej, pooranej bruzdami twarzy, po spracowanych dłoniach, poznać trudne życie. Kobiety w Harmęży i w innych okolicznych wioskach pracują ciężko, nieraz o wiele za ciężko na ich siły. Ziemi nie wystarcza dla utrzymania rodziny. Mężczyźni pracują przeważnie poza domem w górnictwie, a na roli pozostają kobiety i dzieci. Przemęczona jest Aniela Paszak z Harmęży i Anna Wirtel z Polanki i wiele jeszcze innych kobiet w przeludnionych podkrakowskich wioskach.

Spółdzielnia z prawie samych kobiet? Kto to widział? — Nie widział, to zobaczy — odpowiada ktoś. Zresztą, jest już taka. W Rogowie. Niedawno założona, jeszcze nie taka wspaniała i bogata, jeszcze w niej nie wszystko jak należy. Ale jest, rozwija się. Kobiety pracują i rządzą się, mężczyźni, po powrocie z pracy zarobkowej pomagają, radzą. Przekonana do nowej idei wróci z wycieczki Aniela Paszak, której spółdzielnia ulży bardziej niż innym kobietom. Bo Harmęże to wioska zrównana z ziemią przez hitlerowców. W Harmęży dotąd ludzie mieszkają w kurnikach. Tak, właśnie w kurnikach, które niemieccy faszyści postawili organizując hodowlę drobiu w osiedlu, z którego wypędzili gospodarzy.

— Na jakich warunkach otrzymamy od państwa pożyczki, żeby postawić nowe, ludzkie domy — dopytują się Harmężanie, kobiety i ich mężowie górnicy. — Nie chcemy już dłużej mieszkać w kurnikach — mówią, po zwiedzeniu pięknych piętrowych willi gospodarzy Marszowic i miłych, przytulnych mieszkań, jakie mają spółdzielcy w Karczycach.

Anna Wirtel z Polanki w powiecie oświęcimskim gospodarzy na jednym hektarze. Ma jedną córkę zamężną, zięć jest dziennikarzem w Warszawie. Troje młodszych dzieci chodzi do szkoły podstawowej. Jak sprawić, żeby na utrzymanie rodziny i na ubranie wystarczyła pensja męża? Jak podnieść plony z tego jednego jedynego hektara ziemi, kiedy wynajęcie konia tyle kosztuje? Annie Wirtel także ulży założenie spółdzielni.

Z zainteresowaniem oglądają kobiety podkrakowskie żłobki i przedszkola w zwiedzanych przez nie spółdzielniach. W Wilczkowie żłobek jest pusty — dziś święto i matki zabrały do domu swoje maleństwa. Wchodzimy do czysto wysprzątanej, piętrowej willi. Tu, w czasie, kiedy matki pracują w polu i na podwórzu, spędza czas najmłodsze pokolenie spółdzielców. Najmłodsze — w czyściutkich, białych łóżeczkach, trochę starsze — obok w sali do zabaw. Posiłki otrzymują sześć razy dziennie. Podczas, kiedy słuchamy informacji przewodniczącego spółdzielni Sendka, poprzez tłum zwiedzających wycieczkowiczów przepycha się do drzwi bardzo zabawna para. Pucołowate policzki, zadarte nosy i pewność siebie ludzi znajdujących się w swoim własnym domu. Para ta z wielką powagą toczy się na krótkich i trochę niepewnych nóżkach do kącika, gdzie na dywanie rozłożono zabawki. On siada natychmiast do drewnianego autka, ona kuca przy wystrojonej lalce stanowiącej najwyraźniej wspólną własność dzieci Wilczkowa i nie zważając na obecność kilkudziesięciu obcych osób zabiera się do przebierania jej w inny fartuszek. Kiedy jeszcze po zwiedzeniu jadalni z niskimi stałami i krzesełkami obliczonymi na wzrost paroletnich dzieci wychodzimy ze żłóbka — młoda para zajęta swoimi sprawami nie rusza się z miejsca. Dopiero stanowczy ton przewodniczącego spółdzielni Sendka, który dzwoni kluczami od wejścia, zwraca ich rzeczywistości. Niechętnie, ociągając się, wychodzą za nami ze żłobka. Obserwuję ich jeszcze przez chwilę, jak z wysiłkiem przebywają schody: ciągle jedną nogą przebywając każdy stopień jak niebezpieczny szczyt górski, od czasu do czasu podpierając się niezbyt czystą, ale za to tłustą rączką.



Foto CAF

To zadomowienie się i całe zachowanie dwojga berbeciów jest najlepszym świadectwem wystawionym opiekunkom żłóbka. Tak jak tych dwoje, może dziecko czuć się tylko we własnym domu. Ale też godność pracownicy żłóbka otrzymują wilczkowskie kobiety z wyboru: kandydatki zatwierdza ogólne zebranie; muszą dawać prawdziwą gwarancję dobrej opieki nad dziećmi. Pracownic jest tu pięć — dzieci trzydzieścioro. Żłobek funkcjonował dotychczas tylko na wiosnę i w lecie aż do późnej jesieni. W tym roku ma być otwarty również i w zimie; kobiety przekonały się o korzyściach płynących z funkcjonowania żłóbka, będzie więc czynny przez cały okrągły rok.

W spółdzielniach, które zwiedziliśmy, kobiety pracują przeważnie tylko podczas pilnych, pracochłonnych robót w polu: podczas pielenia buraków, żniw i wykopków. Nieliczne zajęte są jako dojarki, drobiarki itp. Główny ciężar pracy w spółdzielni spoczywa na barkach mężczyzn. Pracy przy domu jest niemało. — Nasi członkowie biją od dwóch do trzech świń rocznie na własny użytek. Nie żałuje sobie masła. Nasze kobiety zimą prawie wszystkie chodzą w futrach. Wszyscy mamy rowery — mówił przewodniczący spółdzielni w Wilczkowie, Sendek.

Spółdzielnia w Wilczkowie została założona w roku 1949. Parę lat wystarczyło, aby powstała bogata spółdzielnia, aby jej członkowie cieszyli się prawdziwą zamożnością. Ale i młodziutkie, drugi rok istniejące Karczyce również chwalą sobie zespołową gospodarkę.

Karczyce, to ostatnia ze spółdzielń, które zwiedziliśmy w województwie wrocławskim. Ostatnia i najmniejsza. Ma niewiele ponad dwieście hektarów, dwudziestu jeden członków. Karczycanie dopiero zakładają żłobek na dwanaścioro dzieci i przedszkole na dwadzieścia dwoje. Ale tuż obok podwórza podziwiamy wspaniały pałac po jakimś junkrze. W pałacu znajduje się siedmioklasowa szkoła. Na obszernym boisku gromada kilkunastoletnich wyrostków gra z zapałem w siatkówkę. Nasz przyjazd nie robi na nich najmniejszego wrażenia. Przed autobusem zgromadziła się chyba cała wieś, aby powitać podkrakowskich chłopów, dorośli i dzieci — brakowało tylko młodzieży, chłopców. Tajemnica wyjaśniła się szybko: nie mogli przerwać pasjonującego meczu, który przyciągnął za chwilę także sporo widzów, spośród uczestników wycieczki.

Serdeczność gospodarcza wzruszyła przybyłych. Zaraz też zaczęli dopytywać się o znajomków. W tej odległej od Krakowa wiosce, w której przeważają przesiedleńcy zza Bugu, z Wołynia i Tarnopolszczyzny, oświęcimianka Anna Wirtel znalazła swoją przyjaciółkę, sąsiadkę. Popłakały się więc, jak należy po tak długiej rozłące. I już razem zwiedzały zabudowania gospodarcze spółdzielni.

Karczyce to spółdzielnia mała i na dorobku. Ale na dorobku, który postępuje w szybkim tempie. (Dniówka obrachunkowa wyniosła tu 23½ zł). Mówią o tym dobrze utrzymane konie o lśniącej, wyczesanej sierści, niebojaźliwe, rozpieszczone źrebaki, pięknie zaokrąglone boki krów, czyste świnie.

W Karczycach należą do spółdzielni produkcyjnej prawie wszyscy gospodarze. Paru nienależących jeszcze, wstąpi w najbliższym czasie. Już się zgłosili. Spółdzielcy zwlekają jednak z przyjęciem ich do wspólnoty. „To staruszkowie" — mówią. — Już nie długo będą mogli pracować. Jesteśmy młodą spółdzielnią, nie możemy obciążać się takim balastem. — Jakim znowu balastem? Ludzie to balast? To ciężar? — No nie, ale każdy z nich wniesie po 10 ha ziemi. Jest nas za mało, żeby obrobić tak wielki obszar, jaki wtedy będą obejmować Karczyce. Niech poczekają, aż do nas przyjedzie paru silnych, młodych ludzi, aż się wzmocnimy.

To jest oczywiście stanowisko niesłuszne i już przezwyciężone. W najbliższym czasie staruszkowie znajdą się w spółdzielni. Znajdzie się dla nich na pewno odpowiednia dla ich sił praca, no a później...

Przewodniczący jednej ze „starych", bo powstałych w 49-tym roku spółdzielń, Jan Kaługa z Marszowic, powiedział nam, podczas obiadu, wydanego przez spółdzielców dla krakowskiej wycieczki: — Starcy nie mają się czego obawiać. Ich los

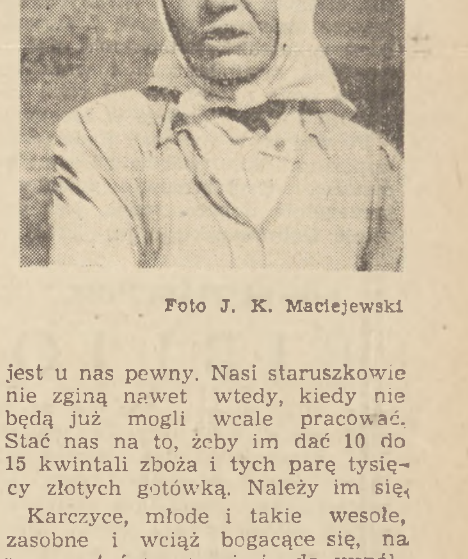


Foto J. K. Maciejewski

jest u nas pewny. Nasi staruszkowie nie zginą nawet wtedy, kiedy nie będą już mogli wcale pracować. Stać nas na to, żeby im dać 10 do 15 kwintali zboża i tych parę tysięcy złotych gotówką. Należy im się.

Karczyce, młode i takie wesołe, zasobne i wciąż bogacące się, na pewno stać na przyjęcie do wspólnoty paru starych ludzi.

Dobrze gospodarująca spółdzielnia to magnes przyciągający ku sobie wszystkich chłopów w gromadzie. W Wilczkowie zwrócił moją uwagę piękny dom obrośnięty winem, położony tuż obok zabudowań spółdzielni.

— Kto tu mieszka? — spytałam któregoś z gospodarzy.

— A jedna wdowa. Ma czworo dzieci. Niedawno wstąpiła do spółdzielni.

— Niedawno? — wydało mi się to dziwne, w spółdzielni istniejącej od 1949 roku. — Dlaczego dopiero niedawno?

— Miała dorosłą córkę. Mówiła, że nie wyda jej zamąż. I kobiecina męczyła się, jeździła do fabryki, zwijała się jak mogła. Ale wydała wreszcie tę córkę i zaraz po weselu wstąpiła do nas.

— A zięć co na to? Nie ma teraz piekła u nich w domu?

— Ej, nie — odpowiedział ze śmiechem mój rozmówca. — W jakieś dwa miesiące potem, zięć też wstąpił do spółdzielni.

Decyzja była trudna, zwłaszcza dla bardziej przywiązanych do tradycji kobiet. Ale właśnie kobiety, wstępując do spółdzielni, zyskują najwięcej. Spółdzielnia ujmuje im pracy, daje wszelkie prawa i możliwości kształcenia się i awansu.

Już wracając do Krakowa, słyszałam przemawiającego przez wycieczkowy radiowęzeł zainstalowany w pociągu przewodniczącego Związku Samopomocy Chłopskiej w Brzesku, Nowaka, założyciela spółdzielni produkcyjnej w swojej wsi. Mówił, jak to kobiety właśnie pomogły mu w zorganizowaniu spółdzielni, jak odważnie agitowały swoich mężów, jak teraz wspaniale pracują. — To wypadek nietypowy — mówił Nowak. — Ale przecież prawdziwy. Trzeba, żeby w Polsce znalazło się więcej takich kobiet. W spółdzielni produkcyjnej czeka je piękniejsze, lepsze życie.

Helena Wielowieyska

ALINA WITKOWSKA

RADZIECKA POWIEŚĆ O STUDENTACH

W CIĄGU 8-miu lat pokojowej pracy naszego kraju kilka pokoleń studentów opuściło wyższe uczelnie i uczestniczy w procesie produkcji. Poważna część ich młodego życia związana była z uniwersytetami, tu przebiegały często pierwsze walki ideowe, tu poprzez subtelną tkankę praw naukowych biegł front walki klasowej. Prawa tej walki działały na uczelni z taką samą surową prawidłowością, jak w fabryce, czy na wsi. Inne były tylko metody walki, odrębna jest szata zewnętrzna. Walka o treść i metody nauczania, o styl życia i moralność młodzieży, o jakość jej produkcji naukowej była i jest w tej samej mierze ważnym odcinkiem budowy socjalizmu, co wykonanie planów produkcyjnych w fabryce. Dziś, gdy nauka z każdym dniem staje się coraz bardziej „sprawą honoru, sprawą męstwa i bohaterstwa" ogółu studentów, czas aby ta ze wszech miar ważna i aktualna problematyka znalazła odbicie w literaturze. Szkodliwe i niemarksistowskie dzielenie problematyki literackiej na produkcyjną - ważną i nieprodukcyjną - błahą jako niewymyślny schemat obaliło już samo życie. Dla literatury realizmu socjalistycznego istotne są konflikty i treść ideowa jaka je nasyca. Realizacja socjalizmu na wyższych uczelniach, nie tylko w ogólnych planach naukowych, ale w umyśle i sercu każdego studenta, to jeden z najbardziej twórczych i ważkich problemów jakie nadają sens i krasę życiu naszej ojczyzny. Przeszło 130 tysięcy studentów polskich czeka na mądrą powieść o ich życiu, powieść która pomogłaby im w dalszej pracy i walce.

*

Podczas tej długotrwałej kanikuły trapiącej naszą literaturę o młodzieży, czytelnik polski tym chętniej sięga do literatury radzieckiej tak obfitej w utwory o problematyce młodzieżowej. Drugi i trzeci numer „Literatury Radzieckiej" za rok 1952 przyniósł nam nadzwyczaj ciekawą i cenną książkę *Jurija Trifonowa pt. „Studenci"*. Problematyka powieści przez analogię bliska także życiu uniwersyteckiemu naszej młodzieży wywołała zrozumiałe zainteresowanie i ożywione dyskusje wokół książki Trifonowa.

Autor „Studentów" należy do najmłodszej kadry pisarzy radzieckich —wychowanków Instytutu Literackiego im. Gorkiego.

„Studenci" — powieść odznaczona Nagrodą Stalinowską w 1951 roku — stanowi pierwsze większe osiągnięcie literackie młodego pisarza. Autor, czerpiąc obficie z własnych, tak jeszcze świeżych przeżyć i wspomnień o latach studenckich, dał w powieści swej barwny i wnikliwy obraz życia studentów III roku Instytutu Pedagogicznego w Moskwie.

Po wojnie w Związku Radzieckim napisano kilka utworów z życia studentów. Czytelnikowi polskiemu szczególnie dobrze znana jest powieść Dobrowolskiego pt. „Trzej w szarych płaszczach" Książki te ciekawe, jak w wypadku Dobrowolskiego napisane z niewątpliwym talentem, chorowały niestety często na anemię konfliktów. Sfera obyczajowego życia studentów — dom akademicki, wieczorynki, imprezy artystyczne i sportowe, trochę studenckiego żargonu — te elementy składały się na zasadniczą atmosferę utworów. Autorzy uchwycili zjawiska niewątpliwie charakterystyczne dla specyfiki życia studenckiego, ale ominęli rzecz najistotniejszą — specyfikę ideowo-moralnych problemów, które tę obyczajowość kształtują i warunkują. Błędu tego jak mi się wydaje uniknął Trifonow.

Problematyka ideowa i etyczno-moralna związana ze sprawą profesora Kozielskiego i studenta Sergiusza Pławina stanowi mocny kościec książki wokół którego zwarcie skoncentrowana jest fabuła utworu. Koncepcja postaci Kozielskiego i zespół problemów z nią związanych uważana jest za szczególne ideowo-artystyczne osiągnięcia autora. W naszych warunkach ideowy konflikt między studentami a profesorem ma przeważnie ostre, antagonistyczne, politycznie określone oblicze. W warunkach Związku Radzieckiego rzecz taka jest nie do pomyślenia, byłby to anachronizm sprzed co najmniej dwóch dziesiątków lat. I nie tak pomyślana jest postać Kozielskiego. Pozornie profesorowi trudno postawić konkretne zarzuty ideowe, które przejawiały by się w jego pracy naukowej i pedagogicznej. Jest oschły, oderwany od spraw studentów, na egzaminie „czepia się" erudycyjnych szczegółików, nie lubi literatury radzieckiej, gdyż jeszcze „nie obrosła bibliografią i czuć ją farbą drukarską", ceni przede wszystkim erudycję i zachwyca się własnym, drobiazgowym opanowaniem wiedzy o literaturze. Pozornie jeszcze jeden dziwak, nielubiany profesor z galerii postaci tak obfitych w literaturach różnych narodów. Zasługą autora jest, iż pokazał drugą o wiele bogatszą i bardziej skomplikowaną stronę portretu nielubianego profesora. Sprawa Kozielskiego rozmiarami swymi daleko wykracza poza ramy indywidualnego przypadku, pokazuje w ogóle związek nauki z ideologią i polityką oraz z osobistą moralno-ideową postawą badacza. W nauce radzieckiej nie ma dziedzin badawczych, które by spełniały rolę azylu politycznego, zwalniającego od aktywnej postawy ideologa. Kozielski uchylał się od niej, zasłaniał się parawanem zainteresowań fachowych z kręgu przyczynków do dziejów ewangelii Ostromira czy sądów o Moleniu Daniła Zatocznika. Jego wiedza jak każdy zbiór wiadomości nie kierowany, nie ożywiany przez ideologię zmieniła się w muzeum jałowej erudycji. Odpolitycznienie treści nauki doprowadziło profesora do aptekarskiego preparowania utworów literackich, a w dziedzinie sądów naukowych do kosmopolityzmu i „formalizmu czystej wody" jak to określił w dyskusji Wadim. Na tym tle zrozumiała jest niechęć Kozielskiego do literatury radzieckiej, której nie rozumiał i nie lubił jak nie rozumiał w gruncie rzeczy kraju, w którym żyć wypadło.

Nowy krąg problemów moralno-etycznych daje powieści sprawa Sergiusza Pławina. Znowu — podobnie jak w wypadku Kozielskiego — z dużym mistrzostwem zakreślił autor ramy charakterystyki bohatera. Sergiusz pokazany jest w domu, na studiach, w pracy społecznej, w licznych i skomplikowanych sytuacjach życiowych. Wypadki i zdarzenia przy stosunkowo małym udziale komentarza autorskiego naświetlają i demaskują w pełni ideały życiowe Pławina. Cenny jest zwłaszcza fakt, że Trifonow pokazał społeczne przyczyny ideowych i moralnych schorzeń Sergiusza, że związał ściśle dzieje kształtowania się charakteru swego bohatera z problemem rodziny, która w pewnym okresie życia jest decydującym rzeźbiarzem charakteru młodego człowieka. Mieszczańska mentalność Iriny Wiktorowny, jej histeryczna miłość do syna, deprawowały już u podstaw charakter Sergiusza. Myśląc o tym Wadim przypomniał sobie świetne powiedzenie Czechowa „W rodzinie, w której rządzi kobieta mieszczka, wychowują się z łatwością panamiści, krętacze, beznadziejne bydlaki". Sergiusz nie mógł się stać skończonym panamistą lub beznadziejnym bydlakiem, gdyż otaczali go zdrowi ludzie, wielkie mocne życie, ale stał się małym egoistą o karierowiczowskich ideałach życiowych. Na tym podłożu wyrosła pławinowska filozofia życia, która pozwoliła mu uwieść dziewczynę i porzucić ją w chwili, gdy przestała mu być potrzebna, przywłaszczyć sobie cudze, wieloletnią pracą zdobyte osiągnięcia naukowe, wniosła do jego moralności obcy etyce komunistycznej cynizm, samozachwyt, połączony z wewnętrznie lekceważącym i pogardliwym stosunkiem do ludzi. Sprawa Pławina, zebranie biura komsomolskiego jemu poświęcone, należą do najbardziej wychowawczych momentów książki. Uczą surowo oceniać siebie i innych, gdyż dopóki żywe są wpływy starej moralności i mieszczańskiego poglądu na świat wszędzie — w kolektywie studenckim, w kole ZMP żyje Sergiusz Pławin.

Konstanty Fiedin powiedział o „Studentach": „Trifonow napisał powieść dobrze, a mógłby napisać doskonale". Sądem tym wielki pisarz radziecki podkreślił duże możliwości autora, jednocześnie zwracając uwagę na braki utworu, które nie pozwoliły „Studentom" być powieścią doskonałą. A braki są poważne. Wątpliwości nasuwa już rozwiązanie centralnych konfliktów utworu. Zagadnienie ewolucji i rehabilitacji ideowej Kozielskiego i Pławina zostało zepchnięte na końcowe karty powieści, spłycone i w obecnej postaci brzmi wręcz fałszywie. Dobór argumentów, którymi autor tłumaczy wewnętrzne przemiany Sergiusza — osamotnienie, brak pieniędzy, związany z utratą stypendium — nie są w stanie nikogo przekonać o tym, że egoista i karierowicz przeżył ewolucję duchową. Nie jest to zresztą najistotniejszy zarzut, jaki można postawić powieści Trifonowa. O wiele poważniejszy i obfitszy w konsekwencje artystyczne jest problem doboru i typowości bohaterów.

Poważna część powieści poświęcona jest między innymi dziejom miłości Wadima Biełowa do Leny Miodowskej. Słusznie zresztą w całym utworze miłości pozwolono mówić pełnym głosem. Niestety ładna i ograniczona bohaterka romansu — której ulubionym malarzem jest polski Siemiradzki — wywarła jak najfatalniejszy wpływ na pierwsze partie powieści. Z jej powodu dzieje miłości kształtują się w sposób romansowo-staromodny, ona narzuca ton i poziom rozmów, niekiedy żenująco płytkich i naiwnych. Na niekorzystnym tle Leny i Wadima z pierwszych partii powieści rozrosła się nadmiernie postać Sergiusza Pławina spychając do roli biernych obserwatorów kolektyw studencki i większość bohaterów powieści. Niewątpliwą pomyłkę artysty, jaką stanowi fałszywy wybór Leny na czołową kobiecą bohaterkę powieści pogłębia jeszcze wyjątkowo nieciekawy zestaw postaci dziewczęcych w utworze. O ile sylwety chłopców są doskonałe, trafnie i mocno portretowane, dziewczęta rozpływają się w bezbarwnej masie przeciętności, obdarzane przez autora najczęściej jedną cechą szczególną — niepohamowaną gadatliwością. A przecież wszystko to są komsomołki, niektóre należą do partii Koniecznie należało powiedzieć o nich więcej i prawdziwiej, pokazać typową studentkę radziecką. Autor w miarę nasycił utwór realiami obyczajowymi, odpowiednio dawkował literackie dyskusje studentów tak, że utwór nie wymaga fachowego szyfru bruździącego w wielu powieściach tzw. środowiskowych. Można jednak mieć do autora pretensję, że w ogóle zastosował łatwy chwyt obyczajowy jakim jest żargon studencki. Pisarza obowiązywałaby raczej walka z tym szkodliwym zjawiskiem językowym, rugowanym nawet z mowy potocznej, a nie kanonizowanie go w dziele literackim.

Przy lekturze „Studentów" nie o brakach się jednak pamięta. Śmiałe konflikty, odważne sięganie po nową, interesującą problematykę — jak kontakt studentów z fabryką — mistrzowskie portretowanie postaci, których każdy rys jest przemyślany, żywy i potrzebny, dojrzałość i zdyscyplinowanie dialogu a nade wszystko młody, zdrowy humor, który rozświetla karty powieści decydują o tym, że „Studenci" Trifonowa są mądrą i radosną książką o życiu radzieckiej młodzieży.

Alina Witkowska



Foto E. Goławski

TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI

W PRZYSZŁOŚĆ WKROCZYŁ...

Otwocki zamku*) przy jeziorze
Ponsowym, gdy je zmierzch przyciemni,
Wytworny Bielińskiego dworze,
Różo rokoka, z fanaberii
Wpięta w sukmanę łąk podmokłych
Nad traktem, gdzie się noc w noc wlokły
Z prochem furgony Igelstroma
I kozak pańskiej ekstrapoczty,
Płosząc sen trwożny wiejskich gromad,
Nad mroźną Newę galopował,
Dworze, coś w takt mazurów skocznych
Scherzo rozbiorów skomponował,
Pamiątko, z nimbu, z czci wyzuta,
Gdzie jednak pod dotknięciem dłuta
Krzew czarodziejski piękna wyrósł
W kwiatach kapryśnych sztukaterii,
W uśmiechach dzieci i zefirów
Kamiennych, dworze, w buchalterii
Pamięci naszej zapisany
Podwójnie: chłopów pańszczyźnianych
Krwią i inkaustem czarnej zdrady
Narodu — dwakroć cię krzesiwa
Powstańczych pułków podpalały;
I wody tej przeklęto szkliwa,
Co profil twój odrysowały.

Lecz dzisiaj już, wolności dzieci,
Możemy piękno twe oddzielić
Od hańby dawnych właścicieli,
Na których „chwałę" miało świecić
Jak sztuczne ognie; wdzięk twój czysty
(Nie przeszłość) rehabilitować,
Oprzątnąć z gruzów złych tradycji
I gospodarzyć nim od nowa;
To piękno dworskie, niedosiężne,
Obce i jakby nie z tych gwiazd
Jak różę w bujny snop w „okrężne"
Wwiązać w ludności wsi i miast
Życie...

Więc znów zagrały piły,
Przybyli cieśle i murarze,
Sztab sztukatorów; wnet pokryły
Szalunki wieże, korytarze...
Już normy przekroczyli cieśle,
A konserwator doświadczony
Zwolna — choć serce bije śpiesznie —
Odsłania freski i plafony:
Mitologiczną baśń, pejzaże
Odległych mórz. Historyk młody
Murarzom sens tych dzieł ukaże
I tronów zmierzch i klas zachody...

Lecz jeszcze deski na sufitach
I długo jeszcze będą zgrzytać
Białych murarzy kielnie drobne.
A już do czystych sal na wieżach
Z miasta i z wiosek młodzież zjeżdża.
Rozbrzmiały dźwięcznym śmiechem groble.
Dzwonek... i przyszły świetlicowiec
Spieszy na wykład... Lśniący kreton
Chmurek jak z rycin Canaletto;
W woń wapna wdziera się jałowiec.

Właśnie omówią dziś kursiści
Dzieje dość dobrze znane ścianom,
Nazwiska śmiechem nienawiści
Komentowane tu przed laty,
W dniach, gdy daleko nad Sekwaną
Wzbiły się łuny, a armaty
Dubienki wszczęły pieśń... przerwaną —
Lecz dzisiaj płoną tu, w tej sali
Idee stokroć śmielsze od tych,
Przeciw którym gardłowali
Zdrajcy w szkarłatach, w pasach złotych
I słowo: Konstytucja — wraca
Przez pałac z kraju wyświecone,
Lecz dziś już ono nie oznacza
Woli nieśmiałej i stłumionej,
Lecz prawa, które praworządca —
Lud ustanowił, kiedy strąca
Krzywdę i przyszłość swą buduje...

Dworze Otwocki, powędruje
Stąd, nim się śnieg twych tynków przejrzy
W ponsowej wodzie, do swych miast
I wsi bojowiec tym silniejszy
W ostatniej, twardej bitwie klas,
Że poznał szerzej dzień dzisiejszy,
Że przejrzał dziejów mrok i blask...
A że nasycił pięknem oczy,
Piękno z nim razem w przyszłość wkroczy
Zdobytą...

1952

*) Rezydencja rodowa Bielińskich. Mrgr. St. Bieliński, jeden z inicjatorów II Rozbioru Polski

A. KOWOL-MARCINEK

BIBLIOTEKA GMINNA PO ROKU

MNIEJ więcej rok temu, na łamach „Wsi" ukazał się mój artykuł pt. „Gminna Biblioteka". Od tej chwili na odcinku pracy bibliotekarskiej, nad upowszechnieniem czytelnictwa i innych zadań bibliotekarza polskiego. zaszły niewątpliwie duże zmiany. Najwyraźniej ujawniło się to na I-szym ogólnokrajowym zjeździe bibliotekarzy polskich, jaki odbył się w tegorocznych „Dniach Oświaty, Książki i Prasy" w Warszawie, Na zjeździe tym podsumowane zostały dotychczasowe osiągnięcia bibliotekarstwa polskiego; wyciągnięte odpowiednie wnioski i co najważniejsze została skonkretyzowana postawa bibliotekarza — żołnierza rewolucji kulturalnej. Ujawniło się to również na różnych naradach bibliotekarzy wojewódzkich i powiatowych oraz w wypowiedziach i artykułach na temat bibliotek i ich zadań, ukazujących się na łamach prasy, szczególnie na łamach czasopism społeczno-literackich. Jakże tedy wygląda działalność i osiągnięcia Gminnej Biblioteki w Włoszakowicach po roku, na tle powyższych wydarzeń? Przed rokiem planowaliśmy podnieść stan czytelnictwa z 11 do 15%. Zaopiekować się absolwentami kursów początkowego nauczania, ująć ich na czytelników biblioteki. Poza wyprowadzeniem pracy organizacyjno - technicznej na bieżąco, wykonać szereg innych prac, jak np.: pracę z czytelnikiem masowym (zalicza się do niej środki propagandy poglądowej i żywego słowa).

15% czytających do końca roku 1951 nie udało nam się osiągnąć. Zdobyliśmy je dopiero w pierwszym miesiącu br. W lutym zaś udało nam się zdobyć jeszcze pół procent i osiągnąć łącznie 15.55% czytających. Stosowane przy tym formy i metody były najrozmaitsze. Głównym motorem, środkiem mobilizacyjnym było współzawodnictwo międzybiblioteczne, które dotyczyło w pierwszym rzędzie upowszechnienia czytelnictwa, przez zwiększenie liczby czytelników rekrutujących się spośród robotników i chłopów, zwiększenie wypożyczeń książek ogółem, w tym zwłaszcza książek popularno - naukowych oraz organizowanie prac z czytelnikiem masowym i zaopiekowanie się byłymi analfabetami. Wśród naszych czytelników znajduje się 65% robotników i chłopów. Pozostała część to młodzież szkolna i pracownicy umysłowi. Opieka nad absolwentami kursów początkowego nauczania dała 85% ogólnej liczby zwerbowanych na czytelników Biblioteki. Prac z czytelnikiem masowym udało nam się przeprowadzić w okresie współzawodnictwa (od 31 października 1951 do 31 marca br.) łącznie 185, licząc w tym takie formy, jak gazetki ścienne, wystawy, dalej odczyty, pogadanki, wieczory dobrego czytania zarówno zespołów dorywczych jak i stałych zespołów czytelniczych. Ogółem zorganizowanych zostało 5 zespołów czytelniczych — stałych. Najlepiej pracował zespół czytelniczy w Jezierzycach Kościelnych. Wieczory głośnego czytania odbywały się tu regularnie a do udziału w nich wciągnięto większość byłych analfabetów miejscowych. Głośne czytanie dobrze było również prowadzone w punkcie Bukowiec - Górny na kursie dla pracujących.

Oto niektóre cyfrowe dane z działalności Biblioteki Gminnej w Włoszakowicach, które pozwolą nam się zorientować jak w głównym zarysie wygląda praca i osiągnięcia Biblioteki, w ostatnim czasie (od początku II-go półrocza 1951 do I-go półrocza 1952). Zdaje mi się, że gdyby do tego dodać jeszcze liczbę wypożyczeń takich, czy innych książek, która, rzecz jasna, tak samo stale wzrasta, można by to „sprawozdanie" zakończyć. Jest jednak jeszcze inne, ważne zadanie, jakie obecnie stawia się przed biblioteką w Polsce Ludowej, zadaniem tym jest systematyczna analiza czytelnictwa na swym terenie. — **„Kto czyta, co czyta, jak czyta i kiedy?"** Nie jest to bynajmniej łatwa sprawa. Nie mniej jednak interesująca i konieczna robota, bez niej nie może być mowy o właściwej, planowej pracy, nad upowszechnieniem książki i czytelnictwa.

Moje początkowe badania w tym kierunku wykazują, że: Większość czytelników choć trochę zaawansowanych, z jednakowym zainteresowaniem czyta książki z przekładów radzieckich i innych i książki naszych klasyków. Robotnica rolna Sobierajska nawet z większym zadowoleniem czyta „Annę proletariuszkę" niż „Krzyżaków" Sienkiewicza. W świeżo założonym punkcie bibliotecznym, w gromadzie Dominice — małej wiosce, liczącej ledwo stu mieszkańców, nieustającym powodzeniem cieszy się książka Babajewskiego „Kawaler złotej gwiazdy".

Nieco inaczej rzecz ma się z literaturą piękną współczesnych autorów polskich. Książki te nie zdobyły jeszcze czytelnika na moim terenie. Dlaczego? A po prostu dlatego, że książek tych nie ma w bibliotece gminnej, że nadsyłane są ze znacznym opóźnieniem. Po dziś dzień nie mam w bibliotece takiej książki jak Rudnickiego „Stare i nowe", nie mam Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę", Hamery „Na przykład Plewa", Rylskiego „Węgiel" i Wilczka „Nr 16 produkuje", otrzymaliśmy dopiero w ostatnim czasie. Co prawda książki te znajdują się w bibliotece powiatowej, czy wojewódzkiej w Poznaniu, ale nie zawsze w dostatecznej ilości, by można zaspokoić wszystkie terenowe placówki. A przecież takie książki winny się znajdować we własnych księgozbiorach bibliotek gminnych i to po kilka egzemplarzy. Powinny o tym pamiętać władze, zakupujące centralnie książki dla bibliotek.

Z drugiej zaś strony książki naszych współczesnych autorów, są jednak jeszcze za mało ciekawe, prawdopodobnie na skutek niepełnego ujęcia artystycznego, nie dosyć pięknego języka i dużej przesady w niejednych wypadkach. Dalej na skutek niezupełnie prawdziwie przedstawionego obrazu rzeczywistości i człowieka — jego życia i pracy w nowym ustroju.

Powodzeniem, u naszego czytelnika, cieszą się książki popularno-naukowe. Dla wielu z nich książka staje się nieodzownym podręcznikiem w wykonywaniu pracy zawodowej. Przede wszystkim odnosi się to do takich działów jak ogrodnictwo, pszczelarstwo, hodowla i uprawa roli i roślin, szczególnie tych dopiero co wprowadzonych przez mało- i średniorolnych chłopów, jak rzepak, konopie i inne rośliny przemysłowe. Jest to, moim zdaniem, objaw naturalny, stający się zjawiskiem powszechnym, pod wpływem dążenia każdego postępowego rolnika do zdobycia maksimum wiedzy fachowo-rolniczej, by wiedzieć, co i jak? by jak najwięcej wydobyć z hektara.

Kiedym przed kilkoma dniami brał udział w akcji poszukiwania stonki ziemniaczanej w gromadzie Bukowiec - Górny, meldujący o znalezieniu stonki drużynowy średniorolny chłop, Poniży Jan powiedział: — „Nasza drużyna po raz trzeci już znalazła stonkę, za to powinna dostać jaką nagrodę, na przykład książkę rolniczą; o uprawie, o hodowli, takie książki ja bardzo lubię, z takich książek można się bardzo dużo nauczyć".

Jeżeli chodzi o poczytność książek z działu społeczno - ideologicznego, to najwięcej przeczytano ich w spółdzielni produkcyjnej Zbarzewo. Na tym odcinku powinny jednak przyjść z pomocą miarodajne czynniki **gminne i partyjne.** Brak tu jeszcze czynnego współdziałania w zamierzeniach Biblioteki, zwłaszcza na odcinku upowszechnienia czytelnictwa książek popularno - naukowych.

Zdaje mi się, że w dużej mierze zależy to od nas samych; od poziomu naszej pracy w bibliotece, oraz od naszej postawy bibliotekarza - działacza społecznego. Tu sięgnę po przykład z innego terenu.

Koleżanka Marciniakówna z Czempina powiat Kościan, nie zadowoliła się tym, że ktoś z gminnego aktywu partyjnego zaglądając do Biblioteki w czasie urządzonej z okazji Dni O. K. i P. wystawy, powiedział: — „Ale tu macie pięknie". Umiejętnym podejściem zachęciła aktyw partyjny do szczegółowego zwiedzenia wystawy, przedstawiając znaczenie i wzajemne powiązanie poszczególnych działów wystawy. To tak przemówiło, iż aktyw zapewnił pomoc Bibliotece w każdej potrzebie. Koleżanka Konieczna w Święciechowie pow. Leszno sprawę swej Biblioteki Gminnej, sprawę czytelnictwa stale referuje na sesjach Gminnej Rady Narodowej. I rezultat jest taki, iż wzrasta liczba czytelników oraz poczytność książki, a tym samym autorytet tamtejszej Biblioteki, która należy do przodujących bibliotek w województwie poznańskim. Za przykładem tym chcę iść i ja.

Biorę odpowiednie książki i zanoszę je członkom Prezydium GRN, aktywowi partyjnemu i kierownictwu organizacji. Uważam bowiem, że od nich trzeba zaczynać. Niech czytają, niechaj poznają, książkę - broń, która ma służyć wychowaniu nowego człowieka i walce o pokój, plan i lepszą przyszłość — socjalizm. To ich i nasz obowiązek. Niechaj tak czynią wszyscy nasi bibliotekarze!

A. Kowol-Marcinek

ADAM BAHDAJ

„WYDZIERAJ TEN PROTOKOŁ“

Po dżdżystym kwietniu przyszedł upalny maj. Zdawało się, że słońce na polach wszystko wypali. Potem nagle się oziębiło i grad wysiekł zboże. Ludzie rwali włosy z głowy, załamywali ręce. Co teraz będzie? Z czego będą żyć? Kobiety, wychodząc w pole, przyklękały, podnosiły ręce do nieba i ziemię własnymi łzami zraszały, tak jakby te łzy mogły zdziałać jaki cud. A tymczasem cudu nie było. Młode żyto leżało zbite gradem i nie podnosiło swych piór, a w komorach coraz puściej. Bieda wszystko wymiotła, nie zostawiając nawet grudki soli.

Tak było w całej okolicy: w Nockowej, w Iwierzycach, Sielcu, Olchowej, Kamionce, Ociece, Żdżanach, Borku, Wolicy, Wiśniowej, Wiercianach. Nie było z czego żyć, a podatki trza było płacić. Co dziennie z Ropczyc do wiosek przychodził egzekutor, przystawał na skraju wsi, otwierał skórzaną teczkę i potem kierował się ku wybranej chałupie. Ludzie przeważnie uciekali z domów, ale nie każdy za wczasu wypatrzył człowieka w butach z cholewami i czarnym kapeluszu, a gdy go nie wypatrzył to zaraz w domu miał wizytę.

Nie pomagały prośby, nie pomagał płacz kobiet i lament dzieci. Egzekutor miał nakazane z góry, żeby zajmował bez pardonu.

Co tydzień napływały nowe wiadowości i coraz bardziej rosła w ludziach nienawiść, tlił się bunt.

Pod koniec maja pan starosta Basara wezwał do siebie, do Ropczyc wójta gminy Kozodrza, Józefa Schaba. Nie rozmawiał z nim długo. Pokiwał tylko głową i powiedział: „Ej, panie Schab, coś źle się dzieje w waszej gminie. Ludzie nie chcą płacić podatków, a przed egzekutorem uciekają w pola. Musimy temu jakoś zaradzić. Państwo potrzebuje przecież pieniędzy.“

Wójt starał się wytłumaczyć, że bieda, że ludzie nie mają co włożyć do gęby, że było gradobicie a i łoński rok nie bardzo się udał, że po prostu nie ma czym płacić... Starosta kiwał wyrozumiale głową, a gdy wójt skończył wylewać swe żale, rozłożył ręce i zadeklamował: „No cóż ja mam robić, kiedy taki nakaz?“ Potem kazał przynieść sobie listę gospodarstw z gminy Kozodrza i powiedział do wójta: „Ja nie chcę dużo mówić. Weźmiecie czerwony ołówek i podkreślicie tych wszystkich, co zalegają. Potem już pomyślimy co z tym zrobić.“

Widocznie pan starosta dobrze i gruntownie wszystko przemyślał, bo za kilka dni w Kozodrzy zjawił się znowu dobrze znajomy jegomość w butach z cholewami i w czarnym kapeluszu. Na skraju wsi otworzył swą skórzaną teczkę, poszperał chwilę w papierach, potem poszedł główną ulicą i skierował się do domu Michała Barnackiego.

Barnackiego nie było w domu. (Chodził na robotę do młyna, bo nie mógł wyżyć wraz z rodziną z półmorgowego gospodarstwa). Zastał tylko jego żonę, Michałową. Przywitała go blada i roztrzęsiona. „Co wy chcecie od biednych ludzi? — szeptała, głos grzązł jej w gardle. — Zlitujcie się nad nami! Przecie widzicie że dom pusty. Nic nie ma... nic...“

Komornik przyzwyczajony do lamentów i łez mruknął coś pod nosem i jakby nie słyszał kobieciny wszedł do drugiej izby. Na niskiej, odrapanej komodzie stał zegar, taki zwykły budzik w niklowym pudełku i z dzwonkiem na wierzchu. Oczy jegomościa w butach z cholewami zaśmiały się do budzika. „No widzicie, widzicie, tak narzekacie, a tu macie przecież zegar“ powiedział, nie patrząc na kobietę. „Dyć to budzik, a nie zegar... jaki tam zegar...“ wybąkała przerażona, ale gdy komornik zdjął zegar z komody doskoczyła do niego i wydarła mu z ręki. „Mój Michał rano chodzi do młyna. Budzik go budzi!“ zawołała, przyciskając zegar do piersi.

Po chwili szamotania zegar znowu znalazł się u komornika. Ręce kobiety drżały. Wyciągała je do budzika, jak do jakiejś drogocennej pamiątki. „Co mój stary powie, co mój stary powie?“ jęczała. „Pięć złotych — rzucił urzędowym głosem jegomość w butach z cholewami. Kobieta chwilę patrzyła na niego ze zdziwieniem, potem załkała: „Ale skąd ja wezmę pięć złotych?“ Odpowiedział jej wzruszeniem ramion. Jeszcze chwilę stała, wahając się co zrobić, potem odwróciła się i wybiegła z izby. Jej bose nogi klaskały na ubitej glinie sieni, potem zadudniały na podwórcu. Ucichło. Słychać było tylko tykanie budzika i senne brykanie much pod powałą.

Komornik otworzył teczkę i w aktach Barnackiego zaczął zapełniać pierwszą rubrykę: „Zegar — budzik, stan — niezniszczony, wartość szacunkowa — złotych pięć“.

Za chwilę przybiegła Michałowa. W popękanej dłoni ściskała kilka monet. „Naści — zawołała od progu. — Pożyczyłam, naści, ale idźcie już, idźcie!“ Zanim się zorientował kobieta wypchnęła go za próg i szybko zawarła drzwi. Wzięła chłopca za rękę i pobiegła z nim do młyna, do męża.

Komornik usiadł na ławie pod oknem i z precyzją dobrze wytresowanego urzędasa jął wypełniać długą rubrykę akt. Po chwili zorientował się, że Michał Barnacki jest winien państwu dwadzieścia cztery złote. Pięć złotych komornik otrzymał za zegar. Pozostało jeszcze dziewiętnaście. Poskrobał się po głowie. Obszedł całą zagrodę. Wszystko było pozamykane. „Co robić? Przecież w starostwie powiedziano mu, że musi ściągnąć zaległe podatki z całą surowością. Podszedł więc do okna i zaczął badać czy silnie zamknięte. Chwycił okiennicę i szarpnął. Ustąpiła. Otworzył okno i myśląc z goryczą na jakie to karkołomne ćwiczenia narażony jest urzędnik państwowy, wgramolił się na okno i wszedł do ciemnej izby. Było cicho, tylko muchy obudziły się pod pułapem i jęły nerwowo bzykać.

Po chwili przez okno na podwórzec zaczęły wylatywać różne przedmioty: najpierw zydel, potem pęknięte i upstrzone przez muchy lustro, wreszcie poplamiona, wyblakła, zmiętoszona pierzyna.

We wsi było pusto. Ludzie wyszli w pole. Na drodze w kurzu grzebały się tylko kury i półnagie dzieci. Kiedy pierzyna Barnackich wyfrunęła przez okno, obok drogą przechodził właśnie Staszek Sadura, najstarszy syn sąsiadów. Przystanął zdziwiony, co się to dzieje? Czy kłócą się, czy też złodziej o tej porze zawędrował do sąsiadów? Podszedł bliżej i przez otwarte okno zobaczył dobrze znajomą postać egzekutora, grzebiącego w komodzie. Nie namyślając się wiele poleciał szybko do Walka Nowaka, który nie tak dawno mówił pod karczmą do zebranych chłopów, że nie można pozwalać na bezprawne hasanie egzekutora po wsi. Nowaka nie było jednak w domu. Całą sprawę opowiedział więc spotkanym na drodze ludziom. Gdy się tylko dowiedzieli co się dzieje w domu Barnackiego, poszli tam wszyscy ławą. Kiedy stanęli na podwórzu, komornik wychodził właśnie przez okno. Zmieszał się, bo to przecież nie wypada, żeby przedstawiciel urzędu państwowego w ten sposób wychodził z cudzego domu.

— Co ty tu robisz sukisynu? — zawołał pierwszy Antoni Wsiołek, niski krępy chłop.

— Kradłeś? — rzucił ktoś z boku.

W ludziach zawrzało od gniewu. Posypały się przekleństwa i groźby. Kobiety zaczęły wrzeszczeć: „Wygonić go! Wygonić! Niech nie kradnie, niech nie włamuje się do domów!“

Komornik stał blady i niezdarnie otrzepywał się z pierza.

— To mój obowiązek... — bąkał pod nosem.

— My ci tu pokażemy, gdzie twój obowiązek — zawołał Wsiołek i zwinnym ruchem podniósł z ziemi kamień.

Komornik zbladł jeszcze bardziej.

— Zrozumcie ludzie, przecież ja... ja jestem urzędnikiem... robię to, co mi każą... — tłumaczył i bladł coraz bardziej.

— Złodziejem jesteś, a nie urzędnikiem — zawołała jakaś kobieta. — Wynoś się stąd, bo źle będzie z tobą!

Wsiołek podniósł rękę do góry. Kamień świsnął w powietrzu i głucho pacnął o ścianę domu. Komornik schwycił swoją teczkę i jednym skokiem znalazł się wśród pierścienia ludzi. Jakaś kobieta uderzyła go pięścią w głowę. Ktoś go kopnął. Wreszcie przebił pierścień otaczających ludzi i jak ścigany pies pognał drogą. Teraz z tłumu buchnął gromki śmiech. Wsiołek jeszcze raz cisnął za nim kamieniem. Kamień zakreślił wielki łuk i ugodził komornika w pośladek. Przedstawiciel władzy tylko podskoczył, jedną ręką chwycił się za pośladek, drugą podniósł teczkę ponad głowę i osłoniwszy się pognał w kierunku Ropczyc.

*

Na tym się jednak nie skończyło. Na drugi dzień egzekutor zjawił się z policjantem. Tym razem poszedł wprost do wójta Schaba.

Nie spostrzegł nawet, kiedy pod oknem domu wójta, zebrał się tłum. Na przedzie stał Walek Nowak w otoczeniu swoich ludzi ze stronnictwa, za nimi cisnęli się mężczyźni, kraśniały chustki kobiet, a pomiędzy dorosłymi kręciły się dzieci. Przez otwarte okno izby dochodził coraz głośniejszy gwar. Ktoś z tłumu zawołał: „Co oni u nas szukają?“ Ktoś inny rzucił: „Protokoł przyszedł spisywać, szubrawiec!“ Ludzie jęli wygrażać policjantowi i komornikowi. „Wydrzyj to zaraz z książki!“ zawołał Wsiołek, który stał blisko Nowaka. „Zniszcz tę kartkę, psie jeden!“ Jakaś kobieta przedarła się przez tłum i pokazując na komornika, krzyczała: „Jego aresztuj, jego wsadź do ciupy! Ludzi okrada, przez okno do domów wchodzi, pieniądze z komody zabrał!“

Taki gwar zapanował, że nie można było usłyszeć, co kto woła. A ludzi stale przybywało. Już zalali całe podwórze, całą ulicę, aż po sklep „Kółka Rolniczego“. Zdawało się, że za chwilę tłum rzuci się na przybyszów. Wtedy Walek Nowak podniósł rękę i długo uciszał ludzi. Kiedy wreszcie na tyle ucichło, że mógł przemówić, zawołał: „Panie posterunkowy, niech pan zniszczy ten protokoł, a na nowej stronie napisze, że ludzie nie mają z czego żyć, nie mają co jeść, nie mają czym płacić. Niech starostwo zwolni nas z podatków. Na nic zdadzą się egzekucje i najścia. Flaków nam z brzucha nie wydrzecie. Piszcie to, bo to ważniejsze!“

Ludzie zaszemrali. Tłum zafalował i runął do drzwi. „Pisz, sukisynie!“ — zawołał Wsiołek. — „Wydzieraj ten protokoł!“

Policjant widząc w sieni ciżbę, najpierw skrył się za plecy Schaba, potem chwycił oparty o stół karabin, nasadził nań bagnet i skierowawszy broń na Wsiołka, bąkał wystraszonym głosem: „Ludzie, nie pchajcie się, dajcie spokój!“ Potem czym prędzej wytargał z notesu zapisaną kartkę i rzucił ją pod nogi Wsiołka.

Adam Bahdaj

GENOWEFA GĄSIOR

GS W OKRESIE ŻNIW

U nas jest pracy dosyć i niejeden bogatszy chłop, czy kułak jadąc do fabryki, do zwózki cegły czy innych materiałów budowlanych, zarabia miesięcznie parą koni przeszło 4 tysiące złotych, ma swoje wyżywienie, a pieniądze lokuje w czym się uda, tak że nieraz chleb wykupuje robotnikowi, zboże spasie koniem a dla państwa nie odda co się należy. Tacy ludzie nie lubią korespondenta. Ale bez walki nic się w naszym życiu nie ulepszy i na dobre nie obróci. Co do naszej pracy w GS Ruda Łańcucka, to nie mam się bardzo czym chwalić, bo praca teraz u nas kuleje. Nie mamy prezesa ,a drugi członek zarządu i ja nie możemy podołać pracy, bo mamy wśród pracowników GS-u prawie wszystko nowe siły, a kto się poduczy, to idzie do fabryki, bo tam lepiej płacą, przez co cała tak ważna w naszej pracy sprawozdawczość kuleje, a dział kontroli wewnętrznej i personalny jest dotąd nieobsadzony. Mamy też niemałe trudności w dostawie towarów z PZGS. Nasz GS jest bowiem oddalony o 39 km od PZGS Łańcut i stąd samochodami sprowadzamy towary, co pociąga za sobą duże koszty.

Przygotowaliśmy się starannie do żniw. Co do zaopatrzenia w chleb, to mamy jeszcze trudności ponieważ nasza GS Ruda Łańcucka w chleb zaopatruje się w GS Leżajsk skąd pobiera dwa razy w tygodniu na siedem gromad, a w żniwa potrzeba nam będzie znacznie częściej i więcej. Mąkę przednówkową już rozprowadziliśmy. Pszennej mąki też po 2 — 3 kg wydaliśmy na rodzinę miesięcznie ,czasem więcej wypadło, ale za to z piwem gorzej, bo już przez tydzień wcale dostać nawet do gospody nie można. Nie wiemy jeszcze, gdzie leży wina, czy jest go brak, czy co innego? Myślę jednak, że do samych żniw te trudności z dostawą piwa przełamiemy. Poza tym kosy, osełki, babki itd. były na czas dostarczone. Będzie co zbierać z pola, bo obsiewy wiosenne poszły sprawnie, kontraktacja roślin została wykonana ponad plan, natomiast warunki atmosferyczne zniszczyły fasolę oraz len. Dlatego mieliśmy w GS-ie dużo dodatkowej i trudnej, bo bardzo odpowiedzialnej pracy przy pomiarach i protokółach zniszczeń.

Co do nasion poplonów, to złożyliśmy zapotrzebowanie do PZGS, ale na razie nie otrzymaliśmy, mamy nadzieję, że w najbliższych dniach nadejdą.

Duże rozgoryczenie u chłopów spowodowała późna dostawa sadzeniaków, bo GS otrzymał sadzeniaki dopiero 28 maja i w czerwcu ziemniaki te musiały być sprzedane jako konsumpcyjne, bo chłopi już posadzili. To jest dla nas ostrzeżeniem, aby na przyszły rok wcześniej wszystko zamówić. Skup trzody chlewnej w m-cu czerwcu został wykonany w 102 proc. jaj w 142 proc. a jaj w półroczu 91 proc., kontraktacji roślin 117 proc., odpadki użytkowe 120 proc. Mamy jednak trudności w skupie jaj bo np. z Wólki Niedźwiedzkiej odległej o 18 km, z Woli o 9 km, chłopi za dowóz jaj żądają 60 zł, a my możemy zapłacić tylko 45, i tylko wtedy jak ma na wozie pełny ładunek. W związku ze skupem zboża przystąpiliśmy już do wyremontowania magazynu zbożowego, który został przerobiony z magazynu opałowego. Większość robót jużeśmy wykonali, jednak gorzej z rozliczeniem bo jeszcze do dnia 15 lipca nie został otwarty dla nas kredyt bankowy na ten cel. Nie przyznano nam również jeszcze etatów na pracowników obsługujących skup zboża, ale nie czekając na to wysłaliśmy już przyszłego magazyniera na praktykę do magazynu zbożowego w Leżajsku. Z otrzymaniem materiałów budowlanych jak deski, cement itp. na budowę magazynu też było niemało kłopotów. Ale PZGS nam bardzo pomógł i większość roboty już za nami. Jeśli chodzi o handel ze wsią, to koniecznością jest, aby zaraz po żniwach większą pulę towarów rzucić na wieś, jak pługi, sieczkarnie ,młocarnie kieratowe i kieraty, bo tych rzeczy dostaliśmy bardzo mało a zapotrzebowanie jest duże, poza tym nieco więcej tekstylii, chustek do odziania i naczyń, jak bańki na mleko, wiadra, bo tych rzeczy jest za mało tak, że nie wiadomo, jak dzielić. Przez handel ze wsią możemy bardzo umocnić spójnię miasta ze wsią.

Wielkie zadania stoją również przed nami w akcji przedwyborczej. A nawet nie towarów, ale dobrej organizacji pracy, tego u nas jeszcze w terenie najwięcej brak. Nie chcę obiecywać dużo, bo wiem, że jedna wiele nie zrobię. Ale będę się starać, zgodnie z tym co mówiło wielu kolegów korespondentów na naszym zjeździe, aby zebrać i zgromadzić wokół siebie, dla uzdrowienia stosunków w naszej gminnej spółdzielni i w naszej gminie — więcej ludzi dobrej woli. A wtedy przeprowadzimy w naszej Gminnej Spółdzielni w Rudzie prawdziwą rewolucję. Będziemy wtedy mieli do pisania o naszej pracy i więcej i lepiej.

Genowefa Gąsior.

ADAM SAR

FABRYKA MIĘSA

CHLEWNIA jest teraz pod opieką Kopaczów. Tak maciory, knury jak i tuczniki. Gałószka odszedł od macior, Kowalczyk od tuczników. Kopaczom ta zamiana była na rękę. Mieszkają tuż przy chlewni, można więc przypilnować i w nocy dojrzeć, jak trzeba. Pracują tu obydwoje, a czasem pomagają im córki.

Chlewnia w Tymieniu jest niezmiernie interesującym przykładem rozwoju gospodarki hodowlanej — nie tylko od strony ilości pogłowia, lecz również ze względu na coraz wyższe formy gospodarowania.

Gospodarka zaczęła się od prymitywnych form, jak w indywidualnym, drobnotowarowym gospodarstwie. Każdy miesiąc przynosił jednak coś nowego, nowe doświadczenia, nowe pomysły. Mała zagródka z prosiętami w stajni przekształciła się w prawdziwą fabrykę mięsa, zbite na prędce korytko w długi szereg koryt otwieranych z zewnątrz; w chlewni pojawił się elektryczny parnik, który zresztą — jak twierdzi Kopacz — nie zużywa więcej prądu od żelazka.

Gałószka był zadowolony ze swoich osiągnięć, ze swojego dorobku. I miał rację, bo istotnie zrobił wiele. Zadowolony był, gdy mógł wszystko na czas nakarmić i wychować.

Kopaczom to już nie wystarcza. Dobrze — mówią — mamy już ładne stado świń, ale to nie wszystko. Chlewnia musi być czysta. Przejęcie jej zaczęli więc od dokładnego wyczyszczenia podręcznego magazynu na paszę i pomieszczenia na parniki, od założenia węża do kranu z wodą.

Gałószka dopiął swego, że w klatkach dla macior wprawiono podłogi. Kopacz poszedł dalej. Wykombinował piętrowe legowiska dla prosiąt — bardzo zresztą dowcipnie. O metr nad podłogą zbite z desek legowisko oparte na słupkach — o powierzchni zajmującej mniej więcej czwartą część klatki. Z dwóch stron do legowiska prowadzą „schodki“ — szerokie deski z poprzecznymi szczebelkami. Widać prosiakom tam dobrze, bo do snu „układają się“ tylko na pomoście a po schodkach do góry i z powrotem — biegają, jakby całe życie nic innego nie robiły. W ten sposób Kopacz rozwiązał definitywnie sprawę oddziaływania betonu na prosięta.

Gałószka był zadowolony z jakości pogłowia. Kopacz jest innego zdania. Chce zmienić knura, żeby naprawić rasę.

Kopacz czuje się gospodarzem chlewni.

— Jak chcę — powiada z odcieniem dumy — nie puszczę tu nikogo. Takie mam prawo. Jeszcze by mi tu kto jaką chorobę przywlókł. A to przecież nasz majątek. Trzeba tego bardziej pilnować, niż swego. Przyjedźcie tu w lecie, zobaczycie, że będzie można się przejrzeć, jak w lusereku. Wybieli się czyściutko, wymyje, za chlewnią zrobi się okólnik. I świń będzie stado. Na 20 macior 15 jest prośnych. Licząc przeciętnie tylko po 6 sztuk od każdej, będzie z tego tylko miotu 90 prosiąt. A drugi miot? Można było zaplanować więcej. Oprócz macior i dwóch knurów, w klatkach jest 26 warchlaków, 30 prosiąt przy maciorach, a 9 już odsadzonych. W tym roku będziemy mądrzejsi. Prosiąt sprzedawać się nie będzie. Sami możemy wszystko wychować. Może w następnych latach, jak macior będzie więcej.

Kopacz patrzy inaczej na prosięta, niż Gałószka. Gałószka podchodził do chowu swoich „prosiaczków“ raczej od uczuciwej strony. Było to widoczne zwłaszcza przy upośledzonych sztukach. Kopacz patrzy na swój warsztat pracy bardziej po gospodarsku. Nie roztkliwia się nad losem pokrzywdzonej przez naturę sztuki. Ocenia ją według apetytu i przyrostu. Nie waży ich jeszcze i nie mierzy (i na to przyjdzie kolej), ale ocenia świnie według ich przeznaczenia. Można powiedzieć krótko: patrzy na chlewnię, jak na fabrykę mięsa.

Nie ukrywa wcale, że chodzi mu o to, aby wyrobić jak najwięcej dniówek obrachunkowych, aby powiększyć swój dochód. W roku 1951 wyrobił z żoną 460 dniówek obrachunkowych, sama Kopaczowa wypracowała 138. A w tym roku chcą wyrobić więcej. Stąd obydwoje znają dokładnie normy pracy.

Kopacz to typ przedsiębiorczego chłopa. Ma otwartą głowę i złote ręce. Nie boi się nowości. Z ciasnego podwórka indywidualnej gospodarki, która hamowała jego możliwości i nie pozwoliła rozwinąć się zdolnościom, wszedł w wielkie, zespołowe gospodarstwo. Na ustach ma stale uśmiech. Gdy po długich tarapatach, wyremontowano wreszcie w spółdzielni pompę, opiekę nad nią powierzono właśnie Kopaczowi. Tylko on zapuszcza motor i napełnia zbiorniki. Rwie się do maszyn. Lubi ludzi pracujących przy maszynach. Dlatego chyba lubi swego zięcia.

— Zięć jest teraz w wojsku. Przedtem robił w POM-ie — a jeszcze dawniej w SOM-ie. Przyjeżdżał robić na naszych polach. Już wtedy polubiłem go. Taki był miły chłopak. Gdy przyszła karta do wojska przyleciał do mnie, pokazuje ją i mówi:

— Wiecie co, ja się będę żenił...

— Z kim - że?

— A z waszą córką.

Cóż było robić? Dobry był chłopak. Lubiłem go jak własnego syna. W wojsku jest ale często do domu wpadnie.

Ciekawość świata, pogodny stosunek do życia pomaga Kopaczowi udoskonalać swój warsztat pracy.

Adam Sar

BOGDAN WOJDOWSKI

NOTATKI Z TERENU



Foto J. K. Maciejewski

JAKIMI drogami wywiera otoczenie kapitalistyczne wpływ na spółdzielnię? Jakie są formy nacisku tego otoczenia na poszczególnych członków kolektywów rolniczych? Jakie istnieją środki uodpornienia zespołów?

Na pytania te szukam odpowiedzi w terenie, w spółdzielni produkcyjnej trzeciego typu „Pokój“ w Barnimie pow. Choszczno.

Powstała ona w lutym roku 1951, należy do niej 404 ha ziemi ornej z ogólnego areału 486 ha. Spółdzielnia obejmuje 59 rodzin, zamieszkałych w gromadzie Barnimie. Struktura społeczna tej gromady jest w dużej mierze typowa dla powiatu Choszczno, jest to struktura wsi osadniczej, o wyrównanej na ogół zamożności, stopie życiowej i areale uprawnym. Liczebnie typową tutaj figurą jest średniak (7—10—12 ha) nie zatrudniający na ogół siły najemnej. Uniemożliwia to charakter osadniczy wsi — duża podaż ziemi. W powiecie Choszczno jeszcze niedawno chętny mógł otrzymać grunt, gospodarkę i wszelkie ulgi, jakie państwo udziela osadnikom. Do chwili obecnej odczuwany jest brak rąk do pracy w Państwowych Gospodarstwach Rolnych na terenie gminy Barnimie.

Jednolita struktura klasowa, wyrównany poziom zamożności właściwy wsi o charakterze osadniczym sprawiły, że sprzeczności były tu w dużej mierze przytępione lub też bardziej ukryte.

Rozmawiam z przewodniczącym. Opowiada długo i szeroko o kłopotach spółdzielni, o braku zainteresowania i pomocy ze strony władz gminnych i powiatowych dla spółdzielni, która ma duże trudności. W roku 1951 rozpoczęto spółdzielczą produkcję przy pomocy 5 maszyn dostarczonych przez POM Drawno. Środki jakich udzielił POM pokryły potrzeby sp. prod. zaledwie w 50 proc. Sąsiadujące PGR-y z Konotopu i Niemeńska udzieliły spółdzielni pomocy w narzędziach. W ramach pomocy sąsiedzkiej spółdzielcy pomogli przy sprzęcie okopowych w PGR-ach.

Dużą przeszkodą w akcji żniwno-omłotowej był brak własnej młocarni. Dwukrotnie wystosowano zapotrzebowanie do PZGS. Odpowiednich maszyn jeszcze nie dostarczono. W roku 1952 POM sprowadził nowe młocarnie, jedną z nich oddał do użytku czasowego spółdzielni. Przeprowadzono próbę omłotów na jęczmieniu zimowym. Wynik: 50 metrów w przeciągu 18 godzin. „Przy takim tempie pracy — oświadczył przewodniczący, Jan Mikuła — zboże spółdzielcze młóconoby 3 miesiące, jeśli weźmiemy pod uwagę, że przewidywane plony tegoroczne przekroczą w zbożu 3 tys. metrów. Zachodzi obawa, że spółdzielnia nie wywiąże się na termin z dostarczenia zboża państwu w ramach planowej akcji skupu, z terminowego obsiewu, punktualnej wypłaty członkom oraz należytego odkarmienia inwentarza. Tym czterem warunkom spółdzielnia sprosta jedynie w wypadku dostarczenia jej młocarni o dziennej wydajności 100 metrów. Zarząd poczynił już w tym kierunku starania. Jednocześnie kierownictwo projektuje ok. 40 proc. zboża wymłócić natychmiast po zwózce, resztę odłożyć na miesiące późnojesienne, tymczasem zaś pokryć pierwsze potrzeby.

Maksymalna moc obciążenia transformatora, którym rozporządza Barnimie nie przekracza 25 kW, a pożądany jest transformator o sile 85 kW. Spółdzielnia zgłosiła zapotrzebowanie do Zakładu Zbytu Energii (oddział Szczecin). Kilkakrotne interwencje Zarządu spółdzielni oraz Prezydium Gminnej Rady Narodowej nie odniosły skutku. Mimo zapewnień dostarczenia żądanego transformatora — jeszcze nie przysłano. W obecnej sytuacji praca wygląda tak, że 2 motory spółdzielcze godzinę pracują a godzinę chłodzą się.

Natomiast narzędzia do orki, siewu, kultywowania gleby, rozpylania nawozów sztucznych znajdują się w dostatecznej ilości. Własnym nakładem spółdzielcy przygotowują tabor wozów oraz komplet uprzęży, pokrywając w ten sposób swoje potrzeby na okres zwózki zbóż i okopowych.

Wróćmy pamięcią wstecz. Jest rok 1951. Do pierwszych prac wiosennych po zawiązaniu spółdzielni ludzie wyszli chętnie; aktywność produkcyjna członków zmalała dopiero po żniwach. Kulały zwłaszcza prace sprzężajne. Sytuację pogorszyła susza, nawet prace wykonywane traktorami sprawiały trudności.

Zbiór jarych i okopowych (hodowli bydła spółdzielnia jeszcze nie założyła) dał w rezultacie dniówkę w wysokości 11 zł 40 groszy. Odtąd 18 członków łamie socjalistyczną dyscyplinę pracy, nie wychodząc do zajęć. Mimo to Zarząd dołożył starań, ażeby obsiać również 160 ha wkładu owych 18 członków.. Zagadnienie rozwiązano połowicznie. Bo choć zabezpieczono spółdzielnię przed stratami, lecz nie przywrócono w ten sposób 18 członków zespołowi, do którego formalnie należą i z praw przysługujących korzystają.

Jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy?

Niewątpliwie brak opieki wpłynął źle na dalszy rozwój spółdzielni, władze gminne uważają widocznie, że ich rola kończy się z chwilą założenia spółdzielni, a tymczasem w życiu jest inaczej: właśnie wtedy zaczyna się ogromna rola terenowej władzy ludowej, której zadaniem jest umacniać i rozwijać gospodarkę spółdzielni.

Ale jakie przyczyny wewnątrz spółdzielni działały rozkładowo na jej pracę? Wracam myślą do sprawozdania przewodniczącego: trzy tysiące metrów zboża na blisko 500 ha, 36 krów i 30 sztuk trzody chlewnej... na zakup trzody chlewnej nie wykorzystano 11 tys. złotych kredytu, nie zakupiono zaplanowanych 120 sztuk drobiu, zrezygnowano z założenia sadu, na co było przeznaczone 4500 zł...

Spółdzielnia ma krów osiem razy mniej niż na 100 hektarów wypada przeciętnie w Polsce, trzody chlewnej dziewięć razy mniej. Tu właśnie leży wewnętrzna przyczyna osłabienia dyscypliny pracy i niskiej dniówki obrachunkowej. Przecież w takiej spółdzielni, gdzie 59 rodzin gospodarując na blisko 500 ha uprawia prawie wyłącznie zboża, nie ma po prostu roboty dla wszystkich przez cały rok, i marne są perspektywy dochodu.

Aktywizacja członków może nastąpić przecież na bazie tylko rozwiniętej, wszechstronnej, intensywnej gospodarki rolnej, tym bardziej, że obecny stopień mechanizacji rolnictwa naszego nie pozwala jeszcze obsłużyć maszynami wyspecjalizowanych fabryk zboża typu radzieckiego sowchozu „Gigant“.

Przy takiej gospodarce, nic dziwnego, że mniej uświadomieni członkowie spółdzielni, którzy nie widzą dla siebie zajęcia przy zbożowej tylko gospodarce, szukają dodatkowych zarobków gdzie indziej...

Notuję kilka konkretnych przykładów na wymienione drogi odpływu sił ze spółdzielni.

Jan Mazurczak z gromady Barnimie nie odrabia swoich dniówek w spółdzielni, a zawiązał cichą spółkę i uprawia ziemię wraz z ob. Nogą Stanisławem, gospodarzem indywidualnym ze wsi Konotop.

Junak Michał również niepracujący „członek spółdzielni“, wziął w dzierżawę łąkę od dróżnika z Drawna, Sołtysiaka Jana.

Inną formę dorabiania wybrał ob. Sobótko, który jako wkład do spółdzielni włożył 10 ha ziemi, zostawiając sobie parę koni, którymi obecnie odwozi mleko ze Spółdz. Prod. „Pokój“ i gromady w Barnimie na punkt do GS Sam. Chł. Dniówek nie odrabia. Zajęcie rozwoziciela mleka zajmuje mu 3 godziny dziennie zarabia miesięcznie 1.000 zł, które wypłaca mu GS. Na wniosek Zarządu Spółdz. Prod. „Pokój“ zajęcie to przestanie być stałą funkcją ob. Sobótki, a czas wykonywanej pracy przy rozwożeniu mleka wliczony będzie do dniówki danego spółdzielcy, natomiast wynagrodzenie z kasy GS włączone zostanie do ogólnej sumy dochodów spółdzielców.

Tylkę Michała zatrudniło nadleśnictwo w Drawnie przy wywozie drzewa, w transporcie sadzonek itd.

Podobnie postępuje N-ctwo Nowa Korytnica. Zarząd Spółdz. Prod. chce zaproponować w ramach swoich prac oddawanie usług N-ctwom okolicznym i energicznie protestuje, przeciwko zatrudnianiu członków Spółdzielni bez porozumienia się z ich zarządem.

Ale to nie wystarczy, nie można tylko administracyjnie rozwiązywać problemów gospodarczych. Trzeba całą gospodarkę spółdzielni przestawić na nowe tory, wyrwać korzenie wewnętrznych konfliktów.

Wniosek z wypadu w teren rysuje się jasno, choć wymaga jeszcze dokładniejszego sprawdzenia, trzeba pogadać z członkami spółdzielni, z Gminną Radą Narodową, z Podstawową Organizacją Partyjną.

Ale jedno już jest pewne: nie można nowego, socjalistycznego gospodarstwa prowadzić e k s t e n s y w n i e, po staremu tak, jak gospodarował obszarnik w zadłużonym majątku, trzeba je prowadzić po nowemu, i n t e n s y w n i e: rozbudowywać hodowlę, uprawę roślin przemysłowych, sadownictwo, stworzyć bazę paszową dla hodowli itp., bo inaczej ludzie będą niezadowoleni, bo szli do spółdzielni z mocnym nastawieniem pracować po nowemu, stworzyć wielkie, wzorowe, wszechstronnie rozwinięte gospodarstwo rolne, bo tylko takie da im wszystkim zatrudnienie przez cały rok i wysokie dochody.

Bogdan Wojdowski

Szkice portretowe

RACZYŃSKI

W Tymieńcu ludzie są tacy sami, jak wszędzie. Nikt z nich nie urodził się w spółdzielni, nikt nie kończył szkół spółdzielczości produkcyjnej. Żyli w różnych warunkach. W Tymieńcu są tacy, jak Spisak, Myśliwiec, Kowalczyk, Gałószka, którzy wszystkie siły poświęcają dla spółdzielni, tacy jak stolarz Załębski, którzy nade wszystko kochają swój warsztat — piłę i hebel i są tacy jak Raczyński.

Raczyński jadał chleb nie z jednego pieca. Pochodzi z powiatu kieleckiego, z Huty Podłysicy. Ziemi tam miał niewiele. Chwytał się różnych zawodów. (Człowiek — jakby powiedziano w Kielecczyźnie — oblatany po świecie). W 1939 r. dostał się do niewoli, ale uciekł z pociągu. Niewola i tak go nie ominęła, bo na rok przed zakończeniem wojny wywieziono go na roboty. Był więc i zagranicą. Zawsze jednak ciągnęło go do ziemi.

Po wojnie osiedlił się na Zachodzie. Otrzymał gospodarstwo, budynki. Stał się średniorolnym chłopem.

Gdy w Tymieniu powstała spółdzielnia, Raczyński należał do jej wrogów.

Dopiero, gdy w styczniu 1951 roku ogłoszono wyniki pierwszego roku gospodarki, gdy spółdzielcy zaczęli zwozić do domów ziarno, otrzymane przy podziale dochodów, gdy obok hodowli spółdzielczej rozwijała się hodowla na działkach przyzagrodowych, Raczyński zrozumiał, że został przez plotkę oszukany. Ale jeszcze nie kapitulował. Dopiero, gdy do spółdzielni posypały się wnioski chłopów, którzy dotychczas stali na uboczu, gdy 22 stycznia zostali przyjęci na członków spółdzielni Iwan, Ankudowicz i dwóch Wojtalów, Raczyński nie wytrzymał. Zgłosił wniosek o przyjęcie go do spółdzielni.

Decydowało Ogólne Zebranie. Po głosowaniu odetchnął z ulgą. Został przyjęty większością głosów.

W spółdzielni pracował przy koniach. Ale nie był zadowolony. Odezwały się stare wątpliwości. Jak był na indywidualnej gospodarce, widział wyraźnie, że w spółdzielni jest lepiej. Teraz, w spółdzielni, zdawało mu się, że lepiej na indywidualnej parceli. Popadł w rozterkę. Tym bardziej, że wskutek nieurodzaju pszenicy, spółdzielnia poniosła straty.

Na wszelki wypadek nie wniósł wkładu siewnego przy wiosennych siewach, chociaż ziarno miał.

W czasie żniw, pierwszy wystąpił z żądaniem, aby nowi członkowie, którzy oziminy siali jeszcze na indywidualnych gospodarkach, sprzątali je indywidualnie. Było to wbrew wyraźnej uchwale ogólnego zebrania: zbiorów dokonujemy zespołowo, zasiewy traktuje się jako wkład siewny, a włożona robocizna zostanie oszacowana w dniówkach obrachunkowych.

Jedno trzeba przyznać, że powierzoną mu robotę przy koniach wykonywał należycie. Kłócił się z woźnicami o staranne obchodzenie się z końmi, o szanowanie uprzęży, w stajni dbał o porządek.

Tak minął rok 1951. Aktyw spółdzielni zastanawiał się wśród innych spraw poważnie, co zrobić z Raczyńskim. Wysunąć wniosek na Ogólnym Zebraniu o usunięcie go ze spółdzielni, czy też wpłynąć na niego w umiejętny sposób. Ale jak? Wybrano to drugie wyjście, gdyż akurat nadarzyła się okazja.

Tymień współzawodniczył ze spółdzielnią Kania w powiecie stargardzkim. Dla sprawdzenia wyników spółdzielnie wysyłają do siebie specjalne, kilkuosobowe komisje. Otóż do Kani wyjeżdżała taka komisja z Tymienia. Wybrano do niej i Raczyńskiego. Niech jedzie i zobaczy.

Pojechał. Zobaczył. Było co w Kani oglądać. Wystarczy powiedzieć, że w roku ubiegłym Kania odstawiła do mleczarni 264.000 litrów mleka, że rozwinęła wszystkie główne działy produkcji. Posiada 408 okien inspektowych. Zobaczył to Raczyński. Z niezadowolonego malkontenta stał się patriotą swojej spółdzielni. Zwłaszcza, gdy się później okazało, że Tymień wygrał z Kanią współzawodnictwo.

— Oborę mają ładną — mówił po powrocie. — 170 samych krów dojnych. I konie ładne. Ale nie lepsze od naszych. Nasza spółdzielnia nie jest wcale gorsza.

Raczyński — to jeszcze jedno zwycięstwo spółdzielni. **Adam Sar**

GAWĘCKI

Mieszka z żoną w dawnych czworakach, razem z zamężną córką. Gawęccy są przedstawicielami starszego pokolenia w Tymieniu. Przyjechali już w 1946 roku, kiedy z gminy bielińskiej naród „ruszył na Zachód". Zabrali krowę i dzieci i z innymi bieliniakami trafili do powiatu Koszalin.

Gawęcki nie mówi, że mu jest dobrze. Nie mówi nawet, że mu jest lepiej. Po co kusić los...

— Na razie nie narzekam na nic — powiada tylko.

— Teraz człowiek nie ma już sił. Las zjadł...

Oznacza to jednak, że żal mu lat przeżytych tak nijako. Żal mu dni drwala, tak podobnych jeden do drugiego. Dlatego całe uczucie, wszystkie siły poświęcił dla dzieci.

Ożywia się gdy o nich mówi.

— Córka jest przy mnie. Zięć robi przy zdunach. Najstarszy syn w wojsku. Kapitan. Służy w Warszawie. Ożenił się w Warszawie. Mają tu z żoną przyjechać na wakacje. Uczy się teraz. Przed wojną nie było o tym mowy. A teraz to i za dużo tej szkoły. Do szkoły i do szkoły. Na co mu tyle nauki? Przyjechać nie ma czasu.

Stary Gawęcki sam nie wierzy w to, co mówi. Ot, gdera, bo mu się za synem przykrzy. Bo pomyśleć. Syn leśnego drwala z Huty Podłysicy oficerem Wojska Polskiego. Kapitanem. W Warszawie.

— Kapitanem jest i jeszcze się uczy...

— Jeszcze mi tylko o Pietrzka chodzi. Kończy dopiero drugą klasę gimnazjum w Koszalinie. Zdolny i dobry chłopak. Ma chęć do nauki. Jak były wakacje — pracował w spółdzielni. Wyrobił 28 dniówek. Bo starszy, Józek, to już da sobie radę. W spółdzielni był, pracował jak mógł. A teraz wzięli go do Koszalina. Jest przewodniczącym powiatowego Zarządu ZMP. Zapracowany, że nie ma czasu do domu wyjść.

Taki jest Gawęcki.

W spółdzielni pracuje w oborze. Oprząta młodzież. Ma obecnie pod opieką 29 jałówek. Ponadto w zakres jego obowiązków wchodzi oprzątanie owiec. Gawęcki przejmuje od Koziarskiego i Myśliwca cielęta, gdy już osiągną przepisowy wiek — 3 tygodni. Za oprzątanie każdej jałówki otrzymuje 0.8 dniówki obrachunkowej miesięcznie. Za każdą oddaną do hodowli zacieloną jałówkę, jednorazowo 10 dniówek obrachunkowych.

Wychowanie młodzieży w oborze wykazuje jeszcze duże braki. Wie o tym Gawęcki.

— Na lato będzie już cielętnik. Zorganizuje się także wybiegi dla młodzieży. Nie będę wtedy wiązał jałówek. Obora jest przecież obszerna.

Najtroskliwiej doglądane są najmłodsze sztuki.

— O, ta, to po mojej krowie — mówi, wskazując na jałóweczkę. Bystra urodziła byczka, u mnie na działce była jałóweczka. Zamieniłem się ze spółdzielnią. U nas taki zwyczaj... W ten sposób można szybko dorobić się bydła. I dorobimy się niedługo. Dwa lata temu nie było jeszcze nic, a dzisiaj mamy nie licząc krów przeszło czterdzieści jałówek. I co dzień przybywa. A tamta jałóweczka, to po krowie Kowalczyka. Także wymieniona za byczka.

W owczarni owce zbijają się wokół Gawęckiego.

W zagrodzie pod oknem matki z jagniętami. To już przychówek spółdzielni.

— Zrobiliśmy głupstwo — konkluduje Gawęcki, patrząc na jagnięta. Do tego czasu mogliśmy się już dorobić kilkuset sztuk owiec. Paść i trzymać jest gdzie. Spóźniliśmy się. Trudno było jednak tak wszystko na raz. I krowy, i świnie i owce. No, ale lepiej późno, niż wcale. Owce najlepsze nie są. Jest jednak dobry tryk i kilka rasowych matek. Za dwa, trzy lata rozrośnie się owczarnia.

— No, stary koniu, nie bodź — krzyknął na tryka.

Adam Sar

MAJ

Ludwik Maj podczas obu dni Krajowego Zjazdu Korespondentów Chłopskich, siedział w jednej niezmiennej pozycji, łokcie wsparł na kolanach, głowa tonęła w dłoniach. W twarzy — zdawało się — choroba.

A to było napięcie. Napięcie, które kuło w tym młodym, pięknym obliczu górala, jak rzeźbiarz w skale. Maj małorolny, Maj przed laty obałamucony, Maj, który w 47 i 48 roku zakupił sobie całą bibliotekę dzieł klasyków marksizmu i czytał. Ale jak? Znacząc ołówkiem, ucząc się fragmentów na pamięć i wprowadzając przeczytane na dyskusje w gromadzie. Wtedy założył gazetkę gromadzką, do której pisało 27 korespondentów z gminy. Nauczył się być pomocnikiem Partii; nauczył się wiązać chłopów w sojuszu robotniczo - chłopskim z Partią. Pomógł oczyścić gminę z wrogów na urzędach. Ten 36-letni Maj, obok którego siedziałem, chwilami trzymał w rękach głowę, pękającą od zadań, jakie rozpoczął realizować. Jego gmina Bystra podjęła zobowiązanie: jedną trzecią ludności przekonać do wyjazdu na Ziemie Odzyskane i całą akcję werbunku, pomocy oraz osiedlenia przeprowadzić. Drugie zadanie — przesunąć wszystkie zbędne siły robocze do przemysłu. Maj dopiero co wrócił z miesięcznej pracy w Krakowie na stacji przeładunkowej dla Nowej Huty. Pojechał, aby wziąć w siebie tę głębię przeżyć, jakich zaznają nowi robotnicy, którzy na początek biorą łopatę albo ładunek na plecy i już wtedy widzą swoją przyszłość: twórców gigantu i nowego miasta, widzą siebie przyszłych obywateli i mistrzów hutników, elektromonterów, majstrów i inżynierów.

Osiłek chłopski w pierwszym tygodniu prawie ustał. Inne mięśnie miały tu decydować. Ale przeżył wraz z innymi chłopami to samo. Honor dorównania tempu, honor współzawodnictwa. A po tygodniu mógł powiedzieć — lżejsza tu praca, można w górę ciągnąć. Maj teraz, agitator werbunku sił roboczych rzucił na zjeździe wezwanie krakowskiemu sekretarzowi KW. — licz na nas, na chłopów z Podhala!

Trzecie zadanie — to walka Maja o czasowo przejściowe rozszerzenie bazy paszowej na Podhalu. Koncepcja do dyskusji. Ale oręduje w jej imieniu działacz terenowy. Nim lasy urosną można i należy powiększyć hodowlę. Projekty Maja opierają się na rachunku; na konkretach.

Wreszcie czwarte — dla którego tamte trzy są pomostem konsekwentnie i szeroko zaplanowanym—spółdzielczość produkcyjna na Podhalu. Na walczącym o nowe Podhalu! Marszałek Zambrowski słuchając Maja, powiedział — państwowe myślenie u tego małorolnego górala.

Piotr Camura

WILCZAK

Spróbujmy odtworzyć typową, a przecież równocześnie niezwykłą sytuację w jakiej znalazł się Wacław Wilczak z gromady Wysokiennice, gm. Głuchów, korespondent „Zielonego Sztandaru". Oto w lutym ub. r. otrzymał z redakcji list następującej treści:

„Jak to jest, że wszyscy mieszkańcy nie widzą „skandalów" w spółdzielni, tylko Wy je widzicie i wciąż piętnujecie je. Gromada Wysokiennice jak i gmina Głuchów nie podziela Waszych wniosków. Otrzymaliśmy wyjaśnienie od spółdzielni i organizacji miejscowych. Wszyscy zaprzeczają temu co donosicie. W takiej sytuacji musicie zrozumieć, że wypada nam tylko zrezygnować ze współpracy z Wami".

Wilczak 5-hektarowy chłop liczy dziś 55 lat. Z goryczą wspominał międzywojenne lata, kiedy to musiał wysłać dwu najstarszych synów „do kułaka na wyższą uczelnię",

Było coś wzruszającego w prostych słowach posiwiałego korespondenta. Pisze już od roku 1948, a pamiętny list z redakcji zamykał 3 lata nieustępliwej walki z kliką głuchowską. Trzy lata samotniczej walki! Po nich — „nóż w serce" — tak odczuł stanowisko redakcji jej terenowy współpracownik.

Czyżby więc nastąpiła śmierć korespondenta, a na warszawskim, później i łódzkim zjeździe mówił wspominający dawne lata korespondent-emeryt? Otóż — nie. Po przeszło pół roku Wilczak otrzymał drugi list z redakcji, w którym można m. in. przeczytać:

„Zdemaskowana, zgrana klika głuchowska potrafiła długo się trzymać kosztem krzywdy chłopskiej. Władze powiatowe nie wnikały w skargi ludności, uważając, że „wszystko w porządku". Dobrze napisaliście, że „Głuchów to drugie Gryfice". Macie dużą zasługę w zdemaskowaniu łajdaków... Uważamy, że nic nie stoi na przeszkodzie naszej dalszej współpracy. Piszcie do nas..."

Któżby to nie chciał wiedzieć jakie perypetie przeszedł korespondent „wciąż i wciąż piętnujący" i jak to się stało, że na przekór dobrze umocnionej klice odniósł po przeszło 3 latach walki zwycięstwo?

Wilczak odpowiedział tylko na drugie pytanie, przemilczając doznane upokorzenia. Nie mówił o drzwiach GRN-u zatrzaskiwanych mu przed nosem, „urzędowych" pismach szkalujących go w dalekiej Warszawie, ani anonimach obiecujących mu „suchą gałąź ino przyjdą amerykańce". Odkrył jedynie tajemnicę swojego zwycięstwa. Okazała się ona nadspodziewanie prosta.

Zjechała do głuchowskiej gminy ekipa łączności z łódzkich zakładów stalinowskich. Posiwiały, w połowie zniechęcony do pracy korespondent chłopski zwierzył się ze swoich kłopotów młodemu robotnikowi Bieńkowi. I wypadki potoczyły się odtąd błyskawicznie. Nastąpiły zdecydowane interwencje władz wojewódzkich, Partii, „samochody aż furczały" — mówił Walczak. Klikę głuchowską zlikwidowano, nieuczciwa sklepowa GS powędrowała po 3 latach nadużyć do więzienia. A ten ruch w województwie spowodował artykuł Wilczaka, pierwszy w jego życiu, skreślony dla gazety partyjnej — „Głosu Robotniczego". Jakiż z tego faktu wyciągnął wnioski?

Dziad Wilczaka był chłopem, ojciec robotnikiem, on sam jest chłopem, a dwaj synowie — to przodownicy pracy w łódzkich fabrykach. Obok istniejących węzłów krwi zadzierzgnął głuchowski korespondent węzły polityczne z klasą robotniczą i jej Partią. Organowi wojewódzkiemu przybył dobry korespondent. Nie o to jednak głównie chodzi. Wilczak, powołując się na doświadczenie polityczne tow. Bieńka, który niezwykle szybko rozgryzł stosunki klasowe w Głuchowie — wezwał wszystkich zebranych do poszerzenia spójni ekonomicznej z miastem o bezpośredniość polityczną w pracy korespondenta.

Mimo kilkuletniej i bogatej praktyki Wilczak wiele nauczył się od młodego korespondenta robotniczego. W osobie Bieńka uznał niejako przodującą rolę klasy robotniczej w walce politycznej. Zachwyciły go jakościowo wyżej zorganizowane formy pracy fabrycznych korespondentów. Już nawet nie kluby korespondentów zwróciły jego uwagę, ale brygady — idące na robotę nie do swojej lecz innych fabryk, gdzie powstawała groźna sytuacja. Te właśnie społeczne „patrole" korespondentów robotniczych urzekły Wilczaka. Takim patrolem była przecież ekipa łączności, której Głuchów zawdzięcza oczyszczenie z wrogów. Dziś żniwa i skup w gminie głuchowskiej idą dobrze, lecz trzeba wspomagać, otoczyć czujnością, patrolować inne, słabsze gromady.

Wiesław Jażdżyński

SEWERYN SKULSKI

POWIAT LIPNOWSKI UMACNIA SPÓJNIĘ

Wiadomo w jakim stanie zastaliśmy nasze rolnictwo po rozgromieniu hitleryzmu przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie. Nie było trzody chlewnej, nie było bydła, nie było koni, owiec, narzędzi rolniczych, wozów i nawet często nie było w ręku najprostszych narzędzi w gospodarstwie. Dzięki pomocy władzy ludowej oraz pomocy radzieckiej i dzięki ukochaniu ziemi przez chłopa, już po czterech i pięciu latach wytężonej pracy dognaliśmy przedwojenną gospodarkę władz sanacyjnych, pod względem wysokości plonów naszej ziemi. Ale nie tylko w tym jest nasz cel aby przedwojenną gospodarkę rolną dogonić. Chodzi nam dziś o to, aby nasza ziemia wydawała tyle plonów, ile nam potrzeba, to jest co najmniej dwukrotnie więcej w porównaniu z przedwojennymi. Cudów nie ma i my w cudy nie wierzymy, ale wierzymy, że przy zracjonalizowaniu uprawy, przy doborze ziarna, przy maszynowej uprawie i planowej pracy, przy daniu takich i takiej ilości nawozów sztucznych, jakie i w jakiej porze ziemia powinna otrzymać, dla należytej wegetacji i odkarmiania zbóż czy okopowizny, oleistych i włókienniczych, osiągniemy zamierzone cele i naszą gospodarkę rolną postawimy na stopniu zadowalającym nas i nasz przemysł.

Nie będę operował krajowymi statystykami o obecnym stanie rolnictwa i podwyższaniu się plonów. Dla zobrazowania stanu rzeczy w dobie dzisiejszej, bierzemy tylko jeden **powiat lipnowski** w województwie bydgoskim, powiat z ziemią średnią, a nawet w trzech gminach jego z ziemią piaszczystą i żwirowatą. Powiat lipnowski już w roku 1949 przewyższył wydajnością ziemi wydajność z czasów rządów sanacyjnych, a w roku 1951 produkcję rolną jeszcze bardziej podwyższył. Po zbiorach w roku 1951 okazało się, że Państwowe Gospodarstwa Rolne na terenie powiatu w stosunku do produkcji rolnej na folwarkach w roku 1938 wykazały wyniki o 20 procent lepsze. To znaczy, gdzie dziedzic zbierał 100 kwintali zboża, dziś państwo zbiera 120 kwintali. Natomiast spółdzielnie produkcyjne na terenie powiatu wykazały nadwyżkę o 14 procent więcej w stosunku do zbiorów w roku 1949 na tych samych obszarach ziemi, a indywidualne gospodarki wykazały najmniej zwyżki w porównaniu do stanu przedwojennego, bo tylko o 6 procent.

O czym to mówi. Mówi, że Państwowe Gospodarstwa Rolne o wiele wcześniej od spółdzielni produkcyjnych zastosowały zorganizowaną, maszynową i racjonalniejszą gospodarkę na ziemi, podczas gdy spółdzielnie produkcyjne są dopiero w toku tych zastosowań, a pomimo tego już takie rezultaty wyższości osiągnęły nad indywidualnymi gospodarkami. Znaczy to, że zespołowa gospodarka i zespołowa praca daje i da o wiele lepsze wyniki. A trzeba przy tym i to jeszcze zauważyć, że w PGR i w spółdzielniach produkcyjnych na takich samych obszarach ziemi porównując z obszarem ziemi na indywidualnych gospodarkach, pracuje o wiele mniej ludzi, przy coraz większej ilości zastosowanych maszyn i mają oni możność stale zwiększać produkcję rolną, a to znów dla przemysłu będzie mieć niemałe znaczenie, gdyż przemysł, w dalszym ciągu będzie się rozbudowywał i zapotrzebowanie świeżych rąk do pracy będzie wzrastać, a te świeże ręce muszą przyjść do miasta, do przemysłu ze wsi.

Ciekawe jest naprawdę, jak szybko odpływa do miast i do przemysłu ludność ze wsi. Przez pierwsze trzy lata Planu Sześcioletniego ze wsi z terenów powiatu lipnowskiego do miasta przeniosło się około 3 tysiące osób, które już na wieś nie powrócą. Czegoś podobnego nikt nie byłby się doczekał za czasów sanacyjnych. Ale ten szybki i tak liczny odpływ ludności wiejskiej do miast, wymaga szybkiego podnoszenia produkcji rolnej. Biorąc pod uwagę i to, że w naszym lipnowskim powiecie z ogólnej produkcji rolnej pochodzi 60 procent od bogaczy wiejskich, którzy niejednokrotnie ociągają się z obowiązkowymi dostawami, a nawet sabotują, przed nami leży konieczność gospodarki zespołowej. Po ostatnim rozporządzeniu władz ludowych o dostawie obowiązkowej mleka, mieliśmy dowody, jak bogacze wiejscy odnoszą się do tego rozporządzenia i do potrzeb klasy robotniczej. Taka bogaczka, Karczewska w gromadzie Konotopie, w gminie Jastrzębie posiadająca połowę prawie ziemi w tej gromadzie, gdyż posiada jej około 50 ha, do dziś jednego litra nie dostarczyła do zlewni. To samo robi bogaczka Dąbrowska w gromadzie Swiętosław. To samo robią inni bogacze na terenie powiatu lipnowskiego. Zboża państwu sprzedać nie mogli, bo go rzekomo nie mieli, ale dzisiaj przed żniwami potrafią brać po 130 złotych za sto kilo żyta.

Gdy uchwałę grudniową Komitetu Centralnego PZPR wprowadzimy w czyn i zastosujemy ją w praktyce, jak ją zastosowali w gromadzie Łąki, gminy Narutowo, pow. Lipno, to socjalizację wsi przyspieszymy. Nie zapominajmy o ciągłym przypominaniu o znaczeniu spółdzielczości, potrzebie i konieczności, o dobrych wynikach planowej pracy i korzyściach jak dla pracujących tak i dla państwa i o znaczeniu tego na arenie światowej.

Może się zdawać ciekawym, jak zastosowano w praktyce uchwałę grudniową Komitetu Centralnego PZPR. W gromadzie Łąki Podstawowa Organizacja Partyjna liczyła dość pokaźną liczbę członków, ale żadnej poważnej pracy w gromadzie nie było i jakoś nie można było ruszyć z miejsca w przebudowie wsi. Dopiero uchwała grudniowa dała atut sekretarzowi Stanisławowi Śliwińskiemu do usunięcia z partii czterech wrogów klasowych, którzy najuporczywiej głosili, że w gromadzie nie ma wroga klasowego, a sami nimi byli. Oni to zwalczali nie tylko spółdzielnie produkcyjne, ale jednocześnie każdą akcję społeczną. Po usunięciu ich z szeregów partyjnych niebawem w gromadzie powstała spółdzielnia produkcyjna z dwudziestu członkami, a dziś spółdzielnia liczy już przeszło trzydziestu członków, a do partii poczęły napływać coraz liczniejsze podania o przyjęcie do organizacji partyjnej. Na miejsce usuniętych warchołów idą do partii wartościowi ludzie, pośród spółdzielców jest chęć pracy i już niektórzy wyróżniają się jako przodownicy pracy.

Jest to jeden z przykładów mądrej i dobrej pracy w gromadzie. Nie specyficzne warunki, na jakie się nieraz narzeka, ale niewłaściwy kierunek pracy rezultatów nie daje. Jeżeli w naszych gromadach nie zastosujemy uchwały grudniowej, tam gdzie ją zostosować powinniśmy, to się wiele Polsce nie przysłużymy.

Seweryn Skulski

FRANCISZEK STROJOWSKI

CHWILA NA SZOSIE

Kierowca zwalnia biegu i komunikuje, że motor jest przegrzany i musimy zatrzymać się na pół godziny, aby mógł ostygnąć. Wysiadamy. Powietrze pachnie dojrzewającym zbożem. Za rowem przy szosie widać pasące się dwie krowy i kilka owiec. W cieniu wysokiego, rozłożystego krzaka spoczywa dziewczyna lat 18-u i czyta „Problemy". Siadam obok i zaczynam rozmowę. Ma lat 18, ukończyła szkołę podstawową, należy do ZMP. Do szkoły średniej nie poszła. Nie rezygnuje jednak z czytania i rozszerzania swoich wiadomości.

— U nas we wsi jest punkt biblioteczny — opowiada Krystyna K. — i stąd wypożyczam książki. U nas teraz dużo ludzi czyta książki i gazety. Szczególnie młodzież. Ale czytają też i starsi, i ci, którzy niedawno jeszcze byli analfabetami, tak jak i mój tatuś. Ale — powiadam panu — jaki on teraz dumny! Nabrał pewności siebie i jakoś dumniej patrzy po świecie.

— A jak dawno czytacie, koleżanko, „Problemy" i co was do tego skłoniło? — pytam zaciekawiony, czy jest to tylko przypadek, czy też rzecz przemyślana i celowa.

— Z tymi „Problemami" to było tak — opowiada dziewczyna dalej. — Byłam w Warszawie na zjeździe ZMP, gdzie spotkałam dużo koleżanek i kolegów z różnych stron kraju. W rozmowach koleżeńskich słyszałam, że to ciekawe pismo i że można się z niego bardzo wiele nauczyć. Zaraz w Warszawie kupiłam sobie jeden numer i przywiozłam do domu. Zaczęłam czytać. Początkowo zdawało mi się, że jest dla mnie za trudne. Ale przeczytałam cały numer. Czasem musiałam zaglądać do słownika wyrazów obcych, czasem pytałam o pewne rzeczy kogoś z naszych nauczycieli — i jakoś to poszło. Zaprenumerowałam sobie teraz pismo na cały rok. Po przeczytaniu pożyczam koleżankom i kolegom z naszego koła zetempowskiego. Bo, wie pan, jest coraz więcej takich, którzy „Problemy" chcą czytać.

— A co was w piśmie interesuje? Tam są przecież artykuły ze wszystkich dziedzin wiedzy.

— Wszystko! I astronomia, i matematyka, chemia, fizyka — wszystko! Chcę poznać w miarę moich możliwości wszystko w takim stopniu, żebym mogła rozumieć dobrze otaczający mnie świat, życie oraz jego sens. „Problemy" pomagają w tej dziedzinie, bo to pismo popularno-naukowe. Chciałbym tylko mieć trochę więcej czasu na czytanie niż mam.

— Czy dużo przeznaczacie czasu na czytanie?

— W dzień powszedni bardzo niewiele — mówi moja rozmówczyni z westchnieniem — bo przecież roboty w gospodarstwie nigdy nie brakuje. Od świtu do nocy robota i robota. Tyle tylko mogę czytać, co w dni deszczowe oraz niedzielami. Wieczorami też czytam, ale mama krzyczy, że wypalam naftę, że się nie wyśpię i będę jutro przy robocie drzemała... Ach, żeby to było u nas światło elektryczne! Aby to życie nasze tak urządzić, by czas mieć na rozrywkę, na naukę, na czytanie książek i gazet...

— A czy sądzicie, że takie życie osiągniecie?

— Już myślimy o założeniu u nas spółdzielni produkcyjnej i mamy sporo chętnych. Ale są jeszcze wahający się, którzy więcej skrobią się po głowach i myślą, niż robią. Tak jest u nas we wszystkich wsiach. I tu, koło Pułtuska i tam, koło Makowa i gdzie indziej. Znam młodzież z bardzo dalekich okolic i znam jej marzenia. Im więcej czytamy, tym więcej nam tęskno do innego życia. Starsi, którzy czytają, też zaczynają myśleć tak jak i my. Książka, gazeta, radio i kino otwiera oczy. Mnie się zdaje, że każdy dzień przybliża nas do upragnionego celu.

Sygnał samochodu natarczywie nawoływał do powrotu. Przejeżdżając zobaczyłem dziewczynę na nowo pochyloną nad książką.

Franciszek Strojowski

PIOTR PIGWA

GAZETKA W MOSZCZY

Wystawmy sobie małą, 30-numerową wioskę Moszcze, wyposażoną, jakby się zdawać mogło na ironię, w piękną świetlicę, podczas gdy w ludnych okolicznych gromadach świetlic brak. „W naszej wiosce palców u ręki starczy, aby policzyć ZMP-owców" — mówił młodziutki redaktor gazetki gromadzkiej — kol. Krawandyk.

A jednak tych kilku zdołało zgromadzić wokół swej świetlicy większość młodych z okolicy. Powstał komitet redakcyjny gromadzkiej gazetki ściennej. Zaczęło się od „dobrego poziomu artystycznego", czyli mnóstwa kolorowych, wyszukanych esów-floresów. A w środku — pustka, na której wypełnienie znajdywali redaktorzy slogany przepisywane z gazet. Następna faza w życiu gazetki polegała na przepisywaniu ważniejszych artykułów i przemówień, co miało taki skutek, że prenumerata gazet we wsi nieco spadła. A skup i kontraktacja szły niełęgo.

Kiedy na wiosnę bieżącego roku trwały gorączkowe przygotowania do siewów, młodzi zajmowali się szkoleniem ideologicznym na łamach swego organu. A tymczasem siewy przeszły nieźle, kuleje natomiast odstawa mleka i w dalszym ciągu kontraktacja. W okresie przedżniwnym komitet redakcyjny skupił swą uwagę na Zlocie, lecz nie umiał sobie poradzić ze zobowiązaniami przedzlotowymi, które — jakby nie było — wypadało koniecznie podjąć.

W tej to fazie nastąpił zasadniczy przełom. Doświadczony w produkcji średniorolny chłop z Rakowa zaproponował komitetowi, że opisze co widział w szczecińskich spółdzielniach produkcyjnych, bo mu się „od urodzenia kiepsko gada". I stało się. Gazetkę oblegali chłopi. Musiano wydać kilka dodatkowych numerów i wywieszać je w gminnych instytucjach. Nie na tym koniec. Przyszedł z rakowskiej kolonii biedniak Suwała z artykułem o niedociągnięciach w pracy GOM-u. „Wykaligrafujta ino prosto, bo mnie jakoś nie wychodzi". Krawendyk odkrył w sobie talent karykaturzysty, w każdym razie kierownik GOM-u spał na rysunku „jak żywy".

W maleńkich Moszczach wisi już pierwsza gazetka żniwna, pokazuje przodujących chłopów, chłoszcze bumelantów. Młody komitet wzbogacił się o starszych, doświadczonych chłopów — „wycieczkowicza" Sędaka, Suwałę, co to krzywo lecz za to dobrze mu się pisze i korespondenta prasy centralnej i wojewódzkiej. Świetlica stoi przy drodze. Nierzadko zatrzymują się tu chłopi donosząc co słychać po gromadach. A żniwa są w biegu.

Piotr Pigwa

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751 80 dod. wewnętrzny 91, 63

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-24205